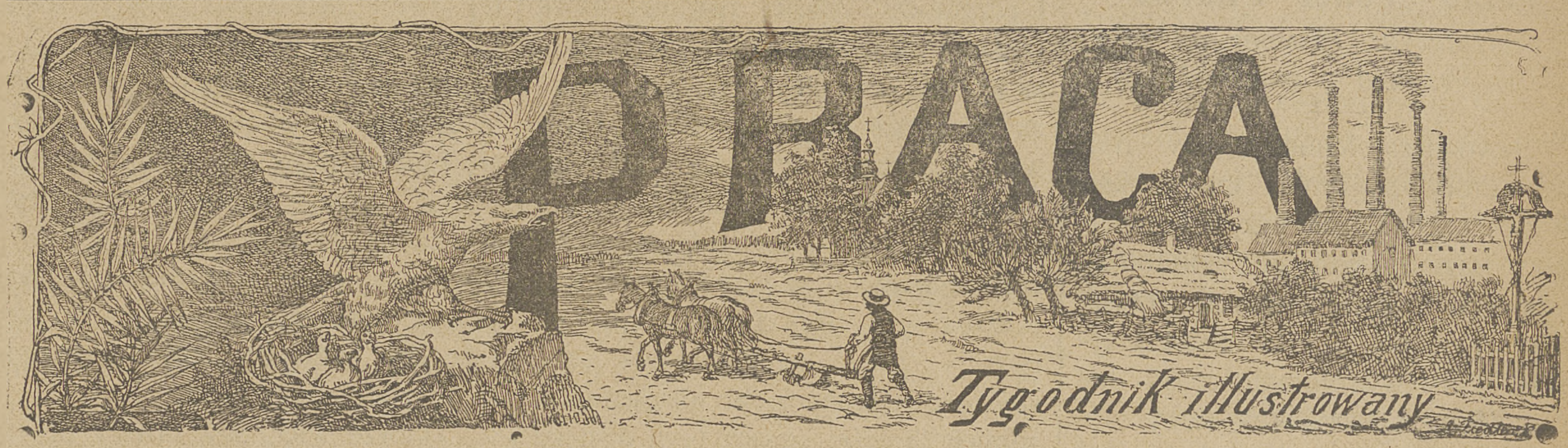
Nr. 4. Poznań, Niedziela 27-go Stycznia 1901 r. Rok V.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 m.**; *na poczcie w Austro-Węgrzech* **1 kor. 47 hal.**
Pod opaską: *w Niemczech* **1,90 mr.**, *w Austro-Węgrzech* **2 kor. 30 hal.** *za Oceanem* **1 dolar 25 cent.**
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

W dniu 18-go Stycznia 1801 r.

W stuletnią rocznicę koronacyi elektora brandenburskiego na króla pruskiego

napisał

Jerzy Szumlański.

(Ze starego rękopisu wydała „Praca.")

W huk armat dziś się wsłuchuję ponury,
I przez łzy patrzę dziś na blaski słońca,
Na jasnem niebie gromu szukam chmury,
I pośród ciszy pragnę burzy gońca.
Grzmi strzał po strzale... dziwna to muzyka,
I dziwne przy niej przychodzą mi myśli,
A taka boleść serce me przenika,
Że mojej męki słowo nie określi.

* * *

Dawne mi, dawne snują dziś się dzieje,
Wstaje duch Persów, wstaje świetność Sparty,
I Aleksandra światoburcze gromy,
Wielkość wszechwładnej pani ludów, Romy,
I ślad ich, dzisiaj na ziemi zatarty,
I trup, co dawno już w ziemi próchnieje,
I znów mi dawne, dawne śnią się dzieje...
Oto przedemną Zygmuntów potęga,
Przed nią na klęczkach Albert pruski leży
I wierność lenną królowi przysięga...
Przebóg Zygmuncie! któż takiemu wierzy!?
Wszakże on wczoraj zdradził swego Boga,
Podeptał szatę świętego Zakonu!
Kręta jest Krzyżaka obłudnego droga!
Żaliż przybiegnie na obronę tronu?
Żaliż Ty nie wiesz, że gdy wiek Twój minie,
I wrogi Twoją Koronę najadą,
To mimo świętych słów na pargaminie,
Prusak za łaskę Twą odpowie zdradą?
Przebóg Zygmuncie!... Dziś nam łzy się leją,
Krzyżak do strasznej przywiódł dziś nas zguby,
Jakżeś mógł, królu, z wiarą i nadzieją,
Słuchać, jak zdrajca wtenczas składał śluby!...
I znów mi dawne, dawne śnią się dzieje...
Widzę w Królewcu blask nowej korony,
Bezduszna twarz w niej radością jaśnieje,
Widzi już w dali powiększone trony...
O Polsko, znałaś tego samozwańca
I nie strąciłaś mu korony z głowy!
Lecz prawda: Tyś już rwała się do tańca,
Co Cię miał zawieść pod kamień grobowy.
Znów dawne, dawne śnią mi się dziś dzieje...
Walki i rzezie, ogniów krwawe łuny...
I cały kraj mój, cały czerwienieje
A potem w kiru kryje się całuny.

* * *

Przeciągłym hukiem grzmią dzisiaj armaty,
A głos ich biegnie wewnątrz w miasta mury
I dalej idzie w dwory, w wiejskie chaty,
Równie szyderczy, złowrogi, ponury,
Lecz dzisiaj serca, dzisiaj nam nie truje!
Wszakże on tylko czczym i marnym dymem
Ludzkiej potęgi — więc się myśl raduje,
Że państwo pruskie — takim jest olbrzymem...

Mane—Tekel—Phares

(Tryumfującym Prusom od wiernego Prusaka — w upominku.)

Dawniejszy lennik królów polkich, który na rynku krakowskim na klęczkach składał przysięgę wierności naszemu królowi Zygmuntowi w imieniu swojem i swych przyszłych następców, wielki mistrz krzyżacki, który wiarołomnie rzucił habit zakonny i złamawszy śluby, porzucił katolicyzm, aby się zrobić niezależnym, był protoplastą królów pruskich i położył podwaliny przyszłego państwa pruskiego — —

A jak on oparł początki swej potęgi na zdradzie — wobec swego protektora, króla polskiego, oraz na zdradzie — wobec swej wiary, tak samo utartym, wytkniętym przez niego szlakiem poszła cała polityka późniejszych Prus — —

I na tem utuczyła się ta potęga pruska, zaznaczyła się w historyi nowożytnej szeregiem powodzeń oręża i dyplomacyi — a dnia 18 stycznia obchodziła swój dwóchsetny jubileusz, prawdziwy jubileusz polityki . . . .

My oto, Polacy, przykuci do rydwanu polityki pruskiej, w tej chwili pamiętamy dobrze, jakichśmy to doznali dobrodziejstw od królów pruskich. Pamiętamy i złamanie wierności Polakom w r. 1792, i gospodarkę pruską w Warszawie za czasów „Prus Południowych", i Flottwella, i rok 1848, i kulturkampf, i wypędzenie 40 tysięcy Polaków z Księztwa i komisyę kolonizacyjną, i zakazy Studta...

Słabi wprawdzie, ale doświadczeni w cierpieniu, my dziś rzucamy słowa pogardy tej chełpiącej się ze swych zwycięztw potędze Prusaków!

W historyi swej ludzkość i większe od tej tryumfującej dziś potęgi pruskiej widziała już kolosy, które wszystkie upadły i upaść musiały, jeśli opierały się na podstawach bezprawia.

Tak samo i ten kolos pruski, któremu się dziś zdaje, że w swem ręku waży losy Europy i Azyi — nie opiera się na prawdzie i sprawiedliwości, lecz na fałszu, gwałcie i przemocy. Blizką już jest może godzina na dziejowym zegarze, gdy za wszystkie gwałty i znęcania się — za wszystkie krzywdy obcym narowościom przez system pruski wyrządzone przyjdzie karząca Nemezys i obrachuje się *i za tych — wynarodowionych, i za tych — przemocą z kraju ojczystego wydalonych, i za tych — przez wiarołomstwo pruskie krzywdzonych*, bo karząca dłoń sprawiedliwości zawsze tych dosięga najprędzej, którzy się sądzą u szczytu ludzkiej potęgi.

„Justitia fundamentum regnorum — na sprawiedliwości opiera się byt państw: tak brzmi jeden z dogmatów ustroju politycznego zarówno rzymskiego jak i chrześcijańskiego świata. Jedne tylko Prusy w swym rozwoju na każdej karcie swych dziejów kłam zadają temu dogmatowi! Gdzież w Prusach szukać sprawiedliwości? u kogo? dla kogo?

W tych Prusach, wykształconych w bałwochwalczej czci oręża i siły, przyzwyczajonych do zdradzania sojuszników, do zdeptywania praw najświętszych, do wydzierania języka i religii gnębionym narodom, — w tych Prusach, jak w owem piekle dantejskiem, już na słupach granicznych nieomal widnieje napis; *Porzućcie wszelką nadzieję* — wy, co jesteście słabi i nie macie poparcia siły. Porzućcie wszelką nadzieję zobaczenia się z prawem, ze sprawiedliwością, z opieką nad słabym, bo ten orzeł, sam utuczywszy się na słabszych, tylko przed tymi zna szacunek, którzy są silniejsi od niego i pożądliwszem okiem od niego spoglądają na krwawiącą się zdobycz.

A jakie było życie, taka i śmierć będzie tego drapieżnego ptaka, który dziś potrząsa zakrwawionym dziobem i chełpi się, że lat tyle przeszedł rozbojem i łupieztwem, podstępem i zdradą, a nikt nie położył kresu jego naigrawaniu się z prawa, jego znęcaniu się nad słabszym.

Poczekaj orle! Przyjdzie może silniejszy, pożądliwszy, drapieżniejszy jeszcze orzeł, a gdy ten cię chwyci w swe szpony, to cię rozedrze na szmaty, i tylko krwawe plamy na tej ziemi świadczyć kiedyś będą o twej znikomej potędze...

Na innem miejscu piszemy, w jaki sposób państwo to, utuczywszy się łupem polskim, dziś chce nam obciąć prawa naszego ojczystego języka na poczcie.

Prusy czują i wiedzą, iż nasze polskie prowincye — to zdobycz i że aby silniejszy ktoś przyszedł, to tę zdobycz odbierze.

Dobrze więc, wy, pruscy potentaci, co nasz język chcielibyście ze szczętem wytępić, dobrze więc: poczekamy na tę ciemną przyszłość, która nam każe się jeszcze po rosyjsku uczyć.

My, zahartowani z waszej łaski w antypolskiej polityce, nie upadniemy na duchu, choć los i nam każe się uczyć po rosyjsku. My i wtedy pozostaniemy tem, czem jesteśmy, — *narodem, który choć w niewoli, nie zrzeknie się nigdy praw do przyszłości.* Ale wy, co jesteście tylko „poddanymi pruskimi", wy, co nie narodem, lecz państwem jesteście, cóż z wami się stanie wówczas, gdy my do rosyjskiej szkoły pójdziemy?

Więc nie masz się czego chełpić, dumny orle, bo przyszłość się twej groźnej ruiny nie przelęknie i ta sama dłoń uprzątnie cię, jako zawadę w rozwoju innych ludów, która dziś ponad transparentami swych uroczystych iluminacyi i obchodów jubileuszowych, kreśli ognistemi zgłoskami groźne słowa: *Mane, Tekel, Phares.*

Vester.

Germanizacya ludu polskiego

przez niemieckich księży

w Zachodnich Prusach i na Warmii.

Kilkakrotnie już dotykaliśmy w artykułach naszych tego nad wszelki wyraz bolesnego dla serc polskich i katolickich faktu — germanizacyi przez kościół, Oświetliwszy tę sprawę z rozmaitej strony, poświęcić jej musimy parę zwięzłych uwag i w Prusach Zachodnich,

I w Prusach Zachodnich bowiem i na Warmii duchowieństwo niemieckie, jakkolwiek nie tak zwartą falangą, germanizuje lud polski zapomocą znanych nam już, a przez siebie wypróbowanych środków: zaprowadzania kazań niemieckich w kościołach, wciągania dzieci polskich na niemiecką naukę przygotowawczą do komunii, nadawania towarzystwom polskim cechy utrakwistycznych, zakazu śpiewania polskich pieśni pobożnych w kościele, słuchania spowiedzi po niemiecku, zwalczania wpływu gazet polskich.

Różnica między Ślązkiem a Prusami Zach. polega jedynie na tem, że tu duchowieństwo nie jest w tak znacznej mierze niemieckie, że jest pewna, znaczna część duchowieństwa zupełnie otwarcie stojąca po stronie polskiej, że są okolice z ludem do tyla rozbudzonym pod względem narodowym, aby germanizacyi się oprzeć, — i że wreszcie wobec tego władza biskupia, licząc się z położeniem, nie może tak bezwzględnie uprawiać antypolskiej polityki w kościele, gdyż jaskrawsze jej przejawy doznają niezwłocznego skarcenia w prasie, podczas gdy na Górnym Śląsku wyjątkowo chyba dochodzą do wiadomości publicznej. —

Prusy Zachodnie wraz z Warmią należą do jednej dyecezyi Chełmińskiej (Kulm). Na stolicy biskupiej w Chełmnie zasiada obecnie następca znanego z antypatyi ku Polakom biskupa Rednera — ks. dr. Rosentreter. Wszyscy niemieccy księża-germanizatorzy odznaczają się tem, że albo spełniają swe dzieło z pełną świadomością nadużywania swej misyi kapłańskiej, albo też są ludźmi, którzy się nie mogą zdobyć na opozycyę wobec rządu, chcącego posługiwać się nimi jako narzędziem swych planów.

Zdaje się, że obecny biskup chełmiński należy do tej drugiej kategoryi księży niemieckich, bo w jego dyecezyi dzieją się rzeczy, niedobre rzucające światło na stosowanie zasady ewangelicznej o oddawaniu Bogu — co jest boskiego, a cesarzowi — co jest cesarskiego.

Rząd pruski zawsze się starał i starać będzie o osadzenie na stolicach biskupich ludzi sobie, jeśli nie oddanych, to przynajmniej powolnych. —

Sprawa zaprowadzania kazań niemieckich zamiast polskich nie schodzi w Prusach Zachodnich z porządku dziennego: raz w raz opinię publiczną porusza wiadomość o zaprowadzeniu kazań niemieckich z okazyi np. wybudowania nowego kościoła.

Tak np. w Rytlu, w okolicy Czerska, gdzie parafian Niemców jest raptem kilkunastu, w nowo wybudowanej kaplicy ks. Kowałkowski rozpoczął kazania niemieckie.

Z polemiki, jaka się z tego powodu wywiązała, okazało się, że ks. Kowałkowski zrobił to z własnego popędu, bez porozumienia się nawet ze swą władzą przełożoną, jedynie widocznie w celu zaskarbienia sobie łaski u wszystko widzącego rządu, który zapisuje wszystko, dzieli księży w polskich dzielnicach na dobrych, t. j. takich, na których może liczyć, i złych, którzy przeszkadzają dziełu „szerzenia kultury niemieckiej" — pierwszych nagradza orderami i zatwierdza jako przełożonych dozorów szkolnych, — dla drugich ma najchudsze probostwa — —

Sprawa ks. Kowałkowskiego z Rytla bolesny dla serc polskich miała epilog. Gdy bowiem sprawa niemieckich kazań nabrała rozgłosu i wywołała krytykę „Gazety Gdańskiej," inny duchowny, ks. Behrendt w Czersku postanowił zniweczyć złe wrażenie krytyki zapomocą potępienia pisma i wymusił na „Towarzystwie ludowem w Czersku" oświadczenie na korzyść kapłana, zaprowadzającego niemieckie kazania, a potępiającego gazety *polskie*, które ten fakt skrytykowały. — —

Jakie oburzenie jednak zapanować musiało między ludem polskim w Rytlu z powodu zaprowadzenia kazań niemieckich, o tem świadczy sprawa niejakiego p. Góreckiego, z całą tą aferą ściśle związana.

Obywatel tamtejszy, p. Górecki, zajmował się żywo budową nowej kaplicy, sam zbierał składki, z największem poświęceniem całe lato pilnował budowy, zaniedbując swe własne gospodarstwo. Zespolił się on niejako ze sprawą budowy nowej kaplicy i gdy dzieło wreszcie było ukończone, uważał je poniekąd za swoje. Jakież było jego zmartwienie i zgryzota, gdy usłyszał — po raz pierwszy w rytelskiej parafii — niemieckie kazanie! Zapewne uczuł wewnętrzną nieprzepartą potrzebę zapobieżenia temu, aby w tym budynku, do postawienia którego on przyłożył ręki, nie szerzyła się germanizacya. Gdy więc, przed nabożeństwem polskiem, odbywało się niemieckie, a parafianie, nie domyślając się niczego, spieszyli jak zawsze do kościoła, starzec stał, rozkrzyżowawszy ręce przy wejściu do kościoła i perswadował ludziom, że nie powinni iść na niemieckie kazanie...

W Sępolnie, w Prusach Zachodnich, w parafii i okolicy czysto polskiej, ksiądz Niemiec zapędza dzieci polskie na niemiecką naukę o sakramentach. W Biskupcu to samo.

Przed kilku laty zbudowano w Biskupcu nad Osą (w Prusach Zachodnich) kościół z funduszu Biskupa, Jana Marwicza. Nowa parafia biskupska powstała w ten sposób, że odłączono kilka wiosek od sąsiednich parafii i złożono je w jedną całość. Wszyscy katolicy tych wsi byli Polakami, a zatem cała nowa parafia biskupska była czysto katolicko-polską z wyjątkiem kilkudziesięciu parafian z samego Biskupca, którzy mówią po polsku i po niemiecku. Cała parafia liczyła w 1899-ym r. 1962 dusz. Nie ma w całej parafii ani 60 ludzi, którzyby wyłącznie mówili po niemiecku. Nabożeństwo urządzono w ten sposób, że kazania odbywają się raz po polsku, raz po niemiecku.

To rozporządzenie władzy duchownej wywołało wiele skarg i żalu, faktycznie bowiem 60-ciu Niemców, z których ze 20 uczęszcza na nabożeństwo ma dla swej wygody tyle kazań, ile ich ma cała dość liczna parafia.

Lecz nie na tem koniec. Proboszcza tej parafii ks. Hopfenheita oskarżył ktoś w niemieckiej gazecie, że jest „polonizatorem“. Niektórzy księża boją się tego tytułu jak ognia, więc i ks. Hopfenheit, do tego typu należąc, napisał do tej gazety sprostowanie, w którem — oczyszczając się z zarzutu sprzyjania Polakom — przytoczył na swoją obronę, co następuje („Germania“ 1899. Nr. 146):

„W biskupskiej parafii może każdy niemieckich katolików na palcach policzyć. Wszystkie wioski, przyłączone do parafii biskupskiej, należały przedtem do parafii czysto polskich i miały nabożeństwa czysto polskie. A co się teraz w Biskupcu z nimi staje? Oto każde drugie kazanie, dla nich jest niemieckie!“ „99 dzieci uczęszcza na naukę przygotowawczą do św. Sakramentów, a z tych należy do oddziału niemieckiego 63, — a do oddziału polskiego tylko 36 dzieci!“

To jawne przyznanie, że w parafii czysto polskiej, gdzie Niemców jest może najwyżej 5%, ksiądz proboszcz potrafił doprowadzić do tego, iż na naukę polską chodzi 36% a na naukę niemiecką 63%! — jest w swoim rodzaju klasyczne i zarówno ze względu na sam fakt, jak na naiwną szczerość, z jaką się proboszcz do faktu tego przyznaje, upatrując w nim swój tytuł zasługi!

Aby uzupełnić charakterystykę stosunków, przytoczymy jeszcze jeden przykład — już jawnej nietolerancyi polskiej mowy i polskiej pieśni w kościele.

W Olsztynie (na Warmii) skasowano w r. 1900 w porze wielkanocnej tak ulubione przez lud polski „Gorzkie żale“, a zaprowadzono zamiast tego odpowiednie niemieckie pieśni.

Lud polski przyzwyczaił się do śpiewania na nieszporach pieśni „Witaj królowo“ — ksiądz ludzi wprawdzie nie każe wyrzucać z kościoła za śpiewanie tej pieśni, ale organiście surowo zakazał wtórowania na organach, jakkolwiek wszystkim pieśniom niemieckim wtóruje. Lud czuje się pokrzywdzony.

Podobną historyę widzimy i w Gdańsku.

Wszelkie starania u miejscowego proboszcza, aby pozwolił śpiewać polskie pieśni z towarzyszeniem organ przed i po kazaniu polskiem, spełzły na niczem! Chór został zamknięty! Organista dostał nakaz, aby nie grał na organach melodyi polskiej pieśni. Śpiewacy koła „Lutni“, która się wtenczas utworzyła w celu pielęgnowania śpiewu kościelnego, musieli stać w kącie pod chórem i śpiewać bez organów.

Wreszcie po odwołaniu się do władzy biskupiej, rzekł proboszcz polskim parafianom, że organista nie jest zobowiązany do tego; „jeżeli koniecznie chcecie, to rozmówcie się z organistą i jemu osobno płaćcie.“ Tak się też stało!

Odtąd organista towarzyszy pieśni przed kazaniem i po kazaniu, ale za to Polacy muszą zbierać pomiędzy sobą pieniądze i kwartalnie mu płacić 25 mrk.

Dodać należy, że na każdem kazaniu bywa kilku set Polaków.

Podobnych przykładów znalazłoby się w Prusach Zachodnich znacznie więcej.

W Prusach Zachodnich, gdzie obok stosunkowo licznego kleru polskiego, działa wyższa władza duchowna niemiecka i duchowieństwo niemieckie w germanizacyjnym duchu, wogóle warunki germanizacyi za pomocą kościoła jeszcze się nie ustaliły. Obok parafii, której duszpasterstwo spoczywa w rękach najzacniejszego kapłana, kładącego tamę germanizacyi z narażeniem się samego siebie — znajdujemy parafię, której proboszcz-Niemiec zażarcie germanizuje dzieci i unika kazań polskich. Taki zacny ks. Szotowski z Chmielnik np. podaje do ministerstwa pruskiego rezolucye wieców polskich, żądające nauki języka polskiego w szkole, a w bodaj, że pięciomilowym promieniu od swej parafii ma najzajadlejszych germanizatorów księży za sąsiadów.

Wobec faktu, że zarząd dyecezyi spoczywa w ręku niemieckiem i że wyższy kler odpowiedni też jest obrany, — taki stan rzeczy wywołuje traktowanie księży Polaków jako księży drugiej klasy, którym się nie dostają nigdy tłuste prebendy, bogate parafie, ani żadne synekury w postaci dobrze płatnych miejsc przy gimnazyach, i t. d. — To wszystko jest zarezerwowane naturalnie dla Niemców. Ks. Hasse w Toruniu za to, że położył w oczach rządu pewne zasługi jako prefekt gimnazyum toruńskiego, otrzymał tłuste probostwo Popowo (Papau) w okręgu toruńskim.

Uważa on je za synekurę, ani myśli zrzec się miejsca w gimnazyum, parafią zarządza przez wikarego (naturalnie Polaka), a troszczy się o nią tylko o tyle, o ile dochody odbiera. Takich przykładów wśród duchowieństwa niemieckiego możnaby dziesiątki wykazać. Natomiast gdy się raz zdarzyło, że ksiądz-Polak miał być wybrany na posła do Berlina, władza dyecezyalna zakazała mu przyjmować mandat i umotywowała swój zakaz tem, że on jako proboszcz, nie może przecież opuszczać parafii. Był to nasz zacny ksiądz Wolszlegier!

Jak wiadomo, w znacznej części Prus Zachodnich mieszkają Kaszubi. Jest to ludek uważający się dziś za czysto polski, jakkolwiek mają swe odrębne narzecze kaszubskie. Otóż pruskie ministeryum oświaty, działając w porozumieniu z duchowieństwem niemieckiem, wbrew ustawie skasowało polski wykład religii w całym szeregu miejscowości. Między innemi stało się to w parafii powyżej wspomnianego zacnego ks. Szotowskiego.

Zapytano się ministra o powo-

dy — minister odpowiedział, że ustawa, zgodnie z którą należałoby zaprowadzić polski wykład, — dotyczy przecież tylko dzieci polskich, a nie kaszubskich.

Tego samego pretekstu używają i księża-Niemcy w celu germanizacyi, gdy chodzi o przygotowywanie do sakramentów, o spowiedź, o kazania, śpiewy kościelne i t. d. — „Wyście przecież nie Polacy — mówią germanizatory Kaszubom — wyście odrębny naród, którego przyszłość leży w zlaniu się z Niemcami.“

Na polu germanizacyi w Prusach Zachodnich odznaczają się księża t. zw. „kosznajdry“ to jest synowie katolickich chłopów niemieckich, zamieszkałych w okolicy Chojnic, których nazywają „kosznajdrami.“ Ci nawzajem sobie pomagają we wdrapywaniu się na coraz to wyższe stopnie hierarchii kościelnej, tak iż obecnie gazety polskie zachodnio-pruskie otwarcie piętnują system forytowania „kosznajdrów“ i ten swego rodzaju nepotyzm w obsadzaniu prebend i synekur.

Tak wygląda przyjaźń z centrowcami — w Prusach Zach.!

X. Dr. X....

13 czy 25?

Gdy przy rozpoczęciu każdej nowej sesyi parlamentu niemieckiego podają gazety ilość mandatów poszczególnych frakcyi — jakże ubożuchno przedstawia się w tym spisie nasze *Koło polskie!* Liczy ono obecnie — na 397 posłów wogóle tylko *13*, a więc ledwie tyle, ile wystarcza na obsadzenie wszystkich urzędów w Kole. Przyznajemy, że szczuplutka ta garstka wobec ogromnej liczby posłów niemieckich z góry musi pesymistycznie usposabiać wyborców polskich. To też mnożą się głosy w społeczeństwie naszem, które wołają: Pocóż trudzić się wyborami do parlamentu, po co czas na nie marnować i wyrzucać pieniądze; ta „trzynastka“ jednak tam nic nie zdziała, bo nawet wypadki, iż stronnictwa tak się podzielą, że mała taka garstka głosów zaważyć może na szali rezultatu głosowania — wydarzają się bardzo — bardzo rzadko.“

Sądząc z pozorów, słuszności pewnej tym głosom odmówić nie można. Prawda jest, że chociażby w tej „trzynastce“ zasiadali wyłącznie głowacze polityczni, nie wiele zdziałają wobec przewagi głosów niemieckich. A jednak nam te coroczne wykazy siły liczebnej poszczególnych frakcyi oraz widok tej małej naszej garstki zupełnie inne nasuwają myśli — wnioski i pragnienia. Nasamprzód oto podpada nam, że liczba posłów polskich *nie odpowiada wcale liczbie ludności polskiej w obrębie Rzeszy niemieckiej*. Gdy układano konstytucyę Rzeszy — postanowiono, ażeby mniejwięcej na 100 tysięcy mieszkańców przypadał jeden poseł — i tak też podzielono Rzeszę na poszczególne okręgi wyborcze. Od tego czasu, wskutek znacznego przesunięcia się gęstości zaludnienia z wschodu na zachód, mianowicie wskutek nienormalnego wręcz wzrostu wielkich miast, stosunek ten zmienił się w wielu okręgach. Nie braknie oto takich, w których na jednego posła przypada dusz półmiliona, a nawet więcej. Takie wypadki zachodzą atoli wyłącznie na zachodzie lub w wielkich miastach; u nas w dzielnicach polskich, z wyjątkiem niektórych okręgów śląskich — reprezentuje zawsze jeszcze każdy poseł przeciętnie mniejwięcej 100 000 dusz. Ponieważ tedy ludność polska na wschodzie, w dzielnicach polskich wynosi przeszło 3 miliony dusz, przeto słusznie zupełnie powinna posiadać w Berlinie conajmniej 30 reprezentantów. A ma ich 13! Stosunek więc wręcz nieproporcyonalny.

Dalej zaś nasuwa nam się myśl i życzenie, czy i w jaki sposób nie możnaby liczby posłów naszych w Berlinie należycie pomnożyć? My nie podzielamy bowiem *hasła:* „nie wybierać wcale“ — lecz przeciwnie, piszemy na naszym sztandarze hasło: *wybierać ich jaknajwięcej!*

Czyż to atoli możliwe, czyżby liczbę naszych posłów rzeczywiście dało się podwoić?

Tak, pomnożenie takie jest możliwem, a nawet przy dobrej woli i *rzetelnej pracy,* to jest *agitacyi wyborczej łatwo możliwem.* Gdyby tylko tej dobrej woli i pracy nie brakło!

Trzydziestu posłów społeczeństwo polskie w naszych dzielnicach o własnej sile do Berlina posłać nie może, jakkolwiek bowiem ludność polska zamieszkuje więcej niż 30 okręgów wyborczych, to jednak tylko w **25** stanowi *sama* większość. A tylko o zwycięztwo *własnemi siłami* starać się powinniśmy, gdyż tylko takie bywa trwałem i sprawia satysfakcyą — przytem nie krępuje żadnemi względami na sprzymierzonych lub sojuszników. Cóż bowiem pomogło nam, że w r. 1893 na szczudłach śp. polityki ugodowej zdobyliśmy się na 19 posłów? Wzbudziło to w nas jedynie fałszywy apetyt — a ostatecznie, po pięciu latach skończyło się znów powrotem do ...trzynastki. Nie, takich zwycięztw nie chcemy. Tylko własna siła zbawić nas może. Dlatego też dzisiaj bierzemy w rachubę jedynie okręgi, w których bez obcej pomocy moglibyśmy przeprowadzić swoich kandydatów. A takich okręgów jest rzeczywiście **25:** oto ich wykaz:

a) W *Prusach Zachodnich:* 1) Weyherowo-Kartuzy-Puck. 2) Kościerzyna-Starogard-Tczew. 3) Sztum-Kwidzyn. 4) Susz-Lubawa. 5) Toruń-Chełmno-Wąbrzeźno. 6) Świecie. 7) Chojnice-Tuchola.

Niektóre z tych okręgów stale wybierają posłów polskich, w innych także już niejednokrotnie zwyciężaliśmy; w każdym zaś lud polski posiada liczebną przewagę. Chodzi tylko o rozbudzenie ruchu w masach przez sprężystą agitacyą.

b) W *Księstwie.* 1) Poznań. 2) Szamotuły - Międzychód - Oborniki - Skwierzyna. 3) Kościan-Śmigiel-Grodzisk-Nowy Tomyśl. 4) Śrem-Środa. 5) Krotoszyn-Koźmin. 6) Odolanów-Ostrzeszów-Ostrowo-Kępno. 7) Wrzeźnia-Pleszew-Jarocin. 8) Wyrzysk-Szubin. 9) Inowrocław - Mogilno-Strzelno. 10) Gniezno-Witkowo-Wągrówiec.

Okręgów niepewnych, jak babimojsko-międzyrzecki i leszczyńsko-wschowski nie wliczamy.

c) *Górny Śląsk:* 1) Opole. 2) Koźle-Strzelce. 3) Lubliniec-Toszek-Gliwice. 4) Bytom-Tarnowskie Góry. 5) Katowice-Zabrze. 6) Pszczyna-Rybnik. 7) Prudnik, — ostatecznie, przy dobrych zabiegach: 8) Racibórz — chociaż tam trudniejsza sprawa ze względu na Morawian.

Tak tedy: 7 + 10 + 8 razem 25!

A to dopiero marzyciel! — zawołają niezawodnie niektórzy czytelnicy nasi — mianowicie zaś nasi *poznańscy i śląscy* wielcy politycy. Nie zabraknie może i takich, którzy się na myśl tę otrząsną, i nadstawią ucha, czy to czasem nie odezwie się echem... zdrady stanu?

Smutne bo to, lecz niestety prawdziwe — że są u nas jeszcze ludzie, którzy sądzą, że Księstwo posiada jeszcze jakieś wyjątkowe prawa w obrębie monarchii pruskiej i że polityczne połączenie się z Ślązkiem mogłoby Księstwo praw tych pozbawić i wskutek tego byłoby raczej szkodliwem, niż pożytecznem. Gdy się tych atoli spytamy, gdzie są te nasze „prawa“ — to w wielki wprawimy ich ambaras.

Prawa takie były, to prawda, nawet zagwarantowane uroczystemi przyrzeczeniami królów pruskich — podczas gdy Ślązk ich nie posiadał, lecz przecież dość wyraźnie chyba nam już powiedziano, że nie są warte złamanego szeląga i z wszystkich też wyzuto nas zupełnie. Dziś pod względem prawno-politycznym stoimy na równi ze Ślązkiem — za to też mamy jeden wspólny wielki i ważny interes: obronę germanizacyi i utrzymanie bytu narodowego.

Inni znów wskazywać będą na różnice ekonomiczne między Ślązkiem a Księztwem i twierdzić, że właśnie interesy ludności przemysłowej na Ślązku nie zgadzają się z interesami przeważnie rolniczego Księstwa. I to, mospanie — furda, błahe wykręty. Dlaczegóż właśnie w łonie Koła Polskiego nie miałoby być miejsca dla zgodnego obok siebie działania przedstawicieli rozmaitych zawodów, kiedy np. w *Centrum* tak pięknie się zgadzają agraryusze z przemysłowcami itd. co w Centrum możliwe, to i u nas — dla dobra naszej sprawy.

Tak tedy znów nacinamy — chociaż dziś pobieżnie, tylko tę myśl politycznego zjednoczenia *całego ludu polskiego w zaborze pruskim do wspólnej obrony zagrożonej naszej egzystencyi.* Raz przecież zdobyć się na to musimy, A jeźli się nie zdobędziemy, sami przez to największą poniesiemy szkodę.

Wprawdzie i 25 posłów polskich w Berlinie też zaraz polityki pruskiej nie przewróci do góry nogami, ani nam raju pod panowaniem pruskiem nie stworzy. Jednakże częściej już zaważyć może na szali losów, niż dzisiejsza trzynastka, więcej też inne stronnictwa i rządy z taką liczbą liczyć by się musiały. Najważniejsze zaś to, że pod znakiem takiej wspólnej reprezentacyi w Berlinie łatwiej by może nastąpiło zupełne zjednoczenie Wielkopolski ze Ślązkiem — które dziś jest jeszcze tylko... marzeniem patryotów!...

Nie-marzyciel.)

Debaty polskie w sejmie pruskim.

Już drugiego dnia pierwszego czytania etatu doczekaliśmy się polskiej debaty w pruskiej izbie deputowanych. Zaraz po fachowo etatowych mowach wolno-konserwatysty Zedlitza i rickertowca Ehlersa oraz krótkiej odpowiedzi ministra sprawiedliwości otrzymał głos poseł nasz ks. prałat dr. Jażdzewski do wygłoszenia swej etatowej mowy.

Brzmi ona w streszczeniu:

Urzędowa „Berliner Corresp.“ mówiła niedawno „o polskiem niebezpieczeństwie“ i ogłosiła o niem cały szereg artykułów. Owo polskie niebezpieczeństwo, o którem tyle mówią, istnieje mojem zdaniem tylko o tyle, o ile je rząd państwa i prowincyi sam maluje na ścianie. Prawda, w ostatnim czasie nagromadziło się u nas wiele niezadowolenia i rozgoryczenia, ale na uśmierzenie tego potrzeba innych środków, aniżeli te, które się przedsiębierze. Środki to nieszczęśliwe i zgubne. Mamy uroczyste przyrzeczenia królewskie, że narodowość polska ma doznawać obrony; jeżeli ich się jednak nie dotrzymuje, nie można się dziwić, że naród posiadający 1000-letnią historyą, popada w wzburzenie i rozgoryczenie. Tymczasem co się czyni? Tępi się stare nazwy polskie, przeszkadza się urządzaniu zebrań, zabrania przedstawień amatorskich, usiłuje się polskich właścicieli rugować z gleby ojczystej; polskich przedsiębiorców nie dopuszcza się do submisyi na wykonywanie robót publicznych, piędzi ziemi nie wydzierżawia się Polakom!

Przed sądem i urzędem nie wolno Polakowi posługiwać się językiem ojczystym. Co zaś do szkoły, czy ona jest dziś środkiem wychowawczym? Nie, absolutnie nie, ona jest tylko torturą (Folterkammer).

Gorące zanieść musimy skargi na obecny system nauki religii. Hr. Zedlitz i dr. Bosse uważali jeszcze za obowiązek sumienia, żeby ta nauka udzielaną była w języku ojczystym dzieci. Tymczasem po nich przychodzi p. Studt i rozporządza naukę religii w niemieckim, a więc w obcym języku. To się sprzeciwia konstytucyi! Minister wykroczył przeciw 25 artykułowi konstytucyi przez to, że przy zastosowaniu owej zmiany nie pytał wcale o zdanie odnośnych władz kościelnych. Pan minister Studt powinien przybyć raz na jaki nasz wiec ludowy. Przekonałby się jakie rozgoryczenie i oburzenie panuje na jego rozporządzenie. Jeżeli się nie wahał obrazić uczuć ludu w dziedzinie tak delikatnej jak nią jest religijna, to nie trzeba się dziwić, że powstaje „polskie niebezpieczeństwo.“ Za te stosunki czynię odpowiedzialnemi w pierwszym rzędzie władze w prowincyi, a potem ministerstwo.

Zarzuca się prasie polskiej jej ostry ton. Czyż wobec polityki systematycznego kłucia špilkami można się temu dziwić? Ta polityka jest u nas na porządku dziennym. Że mąż tych zasług, co dr. Miquel jest ojcem chrzestnym tej polityki, boli mnie niewymownie (thut mir in der Seele leid).

Prezesa ministrów hr. Bülowa nie było w izbie, ale był na posiedzeniu główny „faiseur“ rządowej polityki antipolskiej, minister Miquel, który też pospieszył z długą odpowiedzią na wywody posła Jażdzewskiego. Jak zawsze tak i tym razem posługiwał się wiceprezes gabinetu temi samemi „argumentami“, jakiemi już po sto razy walczono z ław rządowych i ze strony prasy polakożerczej.

Oto w streszczeniu antipolska mądrość p. Miquela:

— Zrobiliśmy — powiada — zbyt złe doświadczenie z Polakami i polskimi parlamentaryuszami i poznaliśmy się na ich taktyce, żeby Polaków przedstawiać ciągle jak niewinnych baranków, jako zaczepionych i uciśnionych. To jednak nie pomyli rządu pruskiego w polityce, jaką wobec nich ma stosować. Polityka rządu pruskiego nie zależy też już dzisiaj od subjektywnego zapatrywania i subjektywnych uczuć jednego ministra (czyżby to była pośrednia pogróżka pod adresem hr. Bülowa? Red.), tylko sprawa polska jest już od dawna wyjaśnioną narodową sprawą państwa i chyba tylko sam p. Richter uważa jeszcze dziś za stosowne w tej walce stawać po stronie Polaków. Niechaj Polacy przecież sami zastanowią się raz jeszcze, czy słusznem jest stanowisko, jakie dziś ku memu żywemu ubolewaniu zajął poseł Jażdzewski.

(Możemy na to zaraz odpowiedzieć ministrowi, że z miliona piersi polskich odezwie się dzisiaj głos zupełnie to stanowisko szan. posła Jażdżewskiego aprobujący. Red.)

Po Miquelu, który, jak widzimy, dobył dziś najcięższych dział z zardzewiałej zbrojowni antipolskich argumentów, wszedł na trybunę minister oświaty Studt i uderzywszy najprzód w ton elegijny, tak bronił znanego swego reskryptu, znoszącego wykład polski nauki religii w Poznaniu.

Zarzuty posła Jażdżewskiego wielce krzywdzą! mnie i mój wydział. Według rozporządzenia, wydanego przed 30 laty, ma być w szkołach elementarnych nauka religii dopóty wykładaną w języku polskim, dopóki to będzie potrzebnem dla zrozumienia wykładu.

W mieście Poznaniu zaprowadzono teraz zmianę w dotychczasowych stosun-

kach. Wcielono do tego miasta kilka gmin, w których istniał już niemiecki wykład religii na dwóch wyższych stopniach. Rozciągnięto ten system teraz na wszystkie szkoły Poznania. Nie chodzi tu więc o ogólne rozporządzenie na całą prowincyą. Tem bardziej trzeba ubolewać, że twierdzono to na zebraniach ludowych, w których niestety (!) brali także udział duchowni. Odbywały się także i w innych miejscowościach rokowania co do zaprowadzenia niemieckiego wykładu religii (aha!), ale zawsze chodziło tylko o pytanie, czy dzieci takie już zrobiły postępy w języku niemieckim, że nie potrzeba im religii wykładać po polsku!..

A więc i tu chodzi tylko o specyalne przypadki. Gdyby nauczyciele nie trzymali się istniejących przepisów i samowolnie coś zmieniali, postaramy się o naprawę tego.

Przy zaprowadzeniu odnośnego zarządzenia w Poznaniu, nie pytaliśmy Arcybiskupa o zdanie, ponieważ nie chodziło tu o zniesienie istniejących przepisów. Nie jest prawdą, jakoby Arcybiskup był wniósł zażalenie na owo rozporządzenie. Doniósł mi tylko, że dowiedział się z gazet, iż wydałem rozporządzenie, i prosił mnie o zakumunikowanie mu jego treści.

Tutaj musimy zwrócić uwagę na sprzeczność powyższego oświadczenia Studta ze znaną deklaracyą sfer kościelnych, że „ksiądz Arcybiskup wyczerpał wszelkie środki obrony.“

Odnośnie do tej sprzeczności pisze „*Kurjer Poznański*“:

Nie możemy więc wcale przypuszczać, żeby tak miało brzmieć oświadczenie ministra i musimy zaczekać na urzędowe zapiski stenograficzne. Bo gdyby istotnie pan minister tylko tyle powiedział, jak „Germania“ cytuje, a o reszcie zamilczał, *wtedy niestety oświadczyć musielibyśmy publicznie, że go pamięć zawiodła.* Mówiąc wyraźniej, sfery duchowne nasze stwierdzają, że szanowny minister oświaty poprostu skła — — nia się do zapomnienia o ważnych rzeczach.

Przydałoby się trochę pamięci, szanowny ministrzę, a mniej lirycznego patosu w omawianiu sprawy polskiej. Pan Studt sądzi, że w powodzi frazesów, zaczerpniętych z „*Ostmarki*“ albo z jakiego innego mętnego źródła zdoła znaleść środek na „poskromienie antypolskiej agitacyi“ a tem samem daje najlepszy dowód nieznajomości stosunków.

W dalszym ciągu rozwodził się minister o celach rzekomo istniejącego ruchu polskiego i powtarzał znowu oklepane frazesy, które codziennie czytamy w prasie hakatystycznej, a mianowicie, że w tym ruchu, podjętym w obronie religii, nie chodzi o obronę religii, o obronę słowa Bożego, tylko o stawianie przeszkód rozwojowi niemczyzny. Ciągle się, zdaniem ministra, słyszy zdania o odbudowaniu Polski i dlatego mówca nie wierzy zapewnieniom o lojalności i wierności Polaków i porozumienie z nimi uważa za *zapełnie wykluczone* Polacy liczą na ogólny „Kladderadatsch“, który jest także ideałem socyalistów. Przytem uprawiają niemoralny system szpiegowania nauczycieli i denuncyowania ich po pismach i do sądów za najdrobniejsze przewinienie.

Minister oświaty kończy z emfazą:

„Zbudowaliśmy sobie w dawniej polskich dzielnicach silny, mieszkalny dom. I my mamy — bo tak chcą Polacy — opuścić ten dom, na którego budowę i urządzenie tyle zużyliśmy niemieckich pieniędzy, tyle niemieckiej pracy, niemieckiej pilności, niemieckiej inteligencyi i kultury? Tego nie uczynimy, pozostaniemy w tym domu z całą naszą narodową posiadłością, tego wymaga nasz honor.“

I następnego dnia była dyskusya polska. Przemawiał mianowicie radzca ***Mizerski,*** jak następuje:

Minister Miquel zapomina, że za sławioną przez niego pruską pracę kulturną w Poznańskiem płacą Polacy. Jestto nadużyciem władzy państwowej, kazać dzieci wychowywać w innym aniżeli ojczystym języku i stawać pomiędzy dziećmi a rodzicami.

Minister oświecenia p. *Studt* odpowiada, że jeżeli dep. Mizerski twierdzi, iż w Poznańskiem żaden człowiek rozsądny nie mysli o rewolucyi, to nie wie, dokąd właściwie należą redaktorzy wszystkich pism narodowo-politycznych. Także narodowa-polityczna agitacya na Górnym Śląsku wywołała tamtejsze stosunki.

Minister baron *Rheinbaben:* Polacy zniewalają Niemców do takiej taktyki, oni bowiem polonizują nazwy miast zupełnie niemieckich, jak np. Wrocławia. Mówca porównuje X. prałata Jażdzewskiego ze słowikiem, który zawsze tę samą powtarza piosnkę, aż nowej się nauczy. Wczoraj przez niego zaczepiony artykuł w „Berl. Korresp.“ umieszczono z mego polecenia — mówi pan minister. — aby stwierdzić, że rząd uznaje ważność kwestyi polskiej i na Polaków baczne zwraca oko. Rząd uczyni wszystko, co może, aby osłabić niebezpieczeństwo, grożące ze strony Polaków. Wytworzymy niemiecki stan włościański, potem stan rzemieślniczy ku wzmocnieniu niemczyzny. Poznań po zniesieniu wałów fortecznych stanie się wielkiem miastem niemieckiem. Pokażemy Polakom, że jesteśmy Niemcami i nimi pozostaniemy, dopóki jeszcze orzeł niemiecki porusza swe skrzydła.

Przeciwko Polakom przemawia następnie dep. *Sattler* (nar. lib.)

Wreszcie powtórnie zabrał głos ks. Jażdzewski, tym razem w mniej udatnej mowie, chciał bowiem składać odpowiedzialność za ostre głosy prasy — na jednostki.

Jest to zupełnie mylne postawianie kwestyi. Szanowny ksiądz poseł powinien był powiedzieć tak: *Wobec wzmagającego się ucisku, ludność polska przyszła do przekonania, że w obrębie państwa pruskiego niema dla niej warunków bytu i rozwoju i odpowiednio do tego normuje swój stosunek do Prus i rządu.*

Gdy ks. poseł tak powie, wtedy będzie w zgodzie z ogólnie panującemi przekonaniami społeczeństwa polskiego.

X. X.

Co mają znaczyć „dzielnice wschodnie?“

Z zapytaniem takiem powinienbym raczej zwrócić się do Niemców. Odpowiedź byłaby, że to „część ich vaterlandu, od ogniska Niemiec na wschód położona, zamieszkana przez wrogie dla prusaczyzny i kultury plemiona polskie.“ Tak mniej więcej przeciętny Niemiec określiłby znaczenie „dzielnic wschodnich“ ze swego *niemieckiego* stanowiska. Ale pytam się, jak usprawiedliwić z stanowiska *polskiego* używanie zwrotów jak np. „przemysł na wschodzie“, „miejscowości dzielnic wschodnich“, „stosunki w dzielnicach wschodnich“ itp. określenia, które niestety tak często wyczytuję w naszych pismach i nieraz słyszę w ustach polskich? W mowie naszej „wschodem“ nazywamy Azyą lub krainy bałkańskie, a także i Rosyą: jakżeż tedy pogodzić się ma duch języka naszego, a co więcej, nasze poczucie polskie z tem, że „dzielnice wschodnie“ w pismach naszych nie mają bynajmniej oznaczać azyatyckiego lub europejskiego wschodu, lecz naszą wielkopolską krainę lub Polskę pod Prusakiem? Wzdrygam się przed tem nazwaniem, odgrzebanem niezbyt dawno przez hakatystów z dawnego słownika teutońskich najeźdźców na ziemie słowiańskie, a oznaczającem kraj podbity, przeznaczony na warownią graniczną dla cesarstwa, zamieszkały przez plemiona niemieckie i wskazany na stopniowe zlanie się z niem. Bo cóż innego znaczą „dzielnice wschodnie“ jeżeli nie „ostmark?“

Z bólem więc spotykam na łamach pism naszych ową przechrzczeńczą nazwę, bo zda mi się, że jej przeznaczeniem pogodzić czytelników i ogół z losem, jaki nam przez nią zapowiada rząd w spółce z hakatyzmem. W używaniu zwrotu ta-

kiego, jak „dzielnice wschodnie“ dostrzegam widmo poniżającej i poddańczej ugody, niewybaczalnej harmonii z ohydnemi zamiarami wrogów naszych, poddania się pod ich wolę, torowania drogi dla wyrzeczenia się ojczystych nazw kraju, zlanych z odwiecznemi dziejami Ojczyzny naszej. Widzę jednomyślność z zakusami pangermanizmu, sięgającego ramieniem polipa po zachodnie kresy Polski, które my, nazywając za jego przykładem „wschodniemi“, oddajemy niebacznie na łup, jemu rzekomo przynależny. Czyliż dla zachłanności hakatyzmu porzucić mamy odwieczne nazwy kraju, jak Wielkopolska, Śląsk, Prusy, Mazowsze? Czy nie powinniśmy raczej używać jedynie tych właśnie mian i głośno wyznawać przed światem, że stanowimy *zachodnią część kraju naszego*, nie wschodnią obcego, że ogniskiem naszego życia narodowego nie piaski brandenburskie, lecz Polska nasza, której *zachodniem jesteśmy pograniczem* i której mamy obowiązek bronić przed zaborczością odwiecznego wroga?

Niech nam stokroć milsze będą chlubne, z tysiącleciem dziejów naszych zrosłe rodzime nazwy kraju, niż obce hakatystyczne miana, z których wyziera dla nas zguba, zagłada i wyrzeczenie się drogiej nam ojcowizny na rzecz hakatyzmu i wrogiego nam „wielkiego“ pruskiego vaterlandu. Niech ten, którego polskości nie urągają „dzielnice wschodnie“, przestanie nazywać się Polakiem i zgodnie z hakatystycznem przezwiskiem swego kraju wyznaje, że nie jest już ani Wielkopolaninem, ani Ślązakiem, Mazurem lub Kaszubą, lecz „ostmarkowcem“ lub „wschodniakiem“.

My Polacy na zachodnich kresach Ojczyzny naszej niczem innem być nie chcemy, tylko Polakami, a kraju naszego inaczej zwać nie będziemy, tylko Polską.

Polak z Polski
nie z „dzielnic wschodnich.“

Forteca hakatyzmu.

Fortecą, do której z niemałym huczkiem wtargnęli hakatyści, aby dawać swe dyrektywy w sprawowaniu funkcyi urzędowych, jest obecnie poznańska poczta. Hakatystyczna ta instytucya wydała obecnie rozporządzenie, wyssane z palca, że nie wolno kłaść na listach, ani przesyłkach polskich adresów.

Dyrekcya poczty, co z takim dyktatorskim spokojem, nie namyśliwszy się nad skutkami swych zamiarów, wydała ten niedorzeczny i sprzeczny z prawem rozkaz, na wszelkie sposoby teraz się kręci, aby podtrzymać rozporządzenie, które naturalnie skończyć się może tem, że pan dyrektor poczty poznańskiej dostanie porządnego „nosa“ podczas interpelacyi w parlamencie.

Panowie urzędnicy pocztowi rzeczywiście już od pewnego czasu postępują sobie z listami polskimi tak, jak gdyby oni byli pruskimi podoficerami, a ludność polska ich podwładnymi.

Najciekawsze jest to, że żadna władza podobnego rozporządzenia nie wydała na piśmie, a hakatystyczni urzędnicy wyżsi tylko ustnie dają niższym odnośne polecenia i do tego jeszcze nieraz sprzeczne, z dnia na dzień różniące się miarą hakatyzmu.

Wyraźnie powiedziano w przepisach wykonawczych, jak się zachować należy wobec listów i przesyłek, których adresata trudno wynaleźć. Powiedziano, że urzędnicy wszelkich mają dokładać starań, żeby adresata odnaleźć, a jeżeli sami nie potrafią, mają się udać do policyi, żeby za jej pośrednictwem stwierdzić tożsamość osoby. Dopiero po wyczerpaniu wszelkich środków tego rodzaju, staje się list niedoręczalnym (unbestellbar) i wraca do poczty, z której go wysłano.

Tymczasem teraz p. naddyrektor poczty, Koehler, orzekł, że przesełka staje się już niedoręczalną, skoro adres podany jest w języku polskim. Nie każe badać i szukać właściwego adresata, a chociaż doskonale wie, gdzie n. p. w Poznaniu szukać kogoś pod adresem: „Prześwietny konsystorz arcybiskupi“, przesełek odnośnych nie doręcza, tylko oświadcza, że są niedoręczalne.

Więc praktyka ta nowa nie tylko jest śmieszną, ale i niebezpieczną dla poczty, a radzimy w danym razie za skutki owe dochodzić prawa swego u poczty na drodze sądowej.

Usiłowania poczty jednak są zupełnie daremne, bo nas tym sposobem hakatyści nie nauczą pisać adresów niemieckich, owszem pobudzą polską publiczność tylko do coraz większego wstrętu w danym kierunku. Nie nauczymy się pisać ani Herr... ani Frau... ani Ew. Hochwohlgeboren, tylko, jeżeli nam nawet na niewinnym adresie zakażą dźwięków mowy ojczystej, jak to już kilka dni temu radziliśmy, kłaść będziemy w adresach tylko w sposób zupełnie demokratyczny imię i nazwisko i miejsce zamieszkania po polsku i po niemiecku.

Z takim godnym najwyższego uznania i szacunku projektem wystąpił też p. baron Chłapowski z Szołdr, żądając, aby list do niego adresowano krótko Chłapowski — Szołdry. Za tym przykładem poszło i wielu innych znanych obywateli. Tak więc Niemcy nie będą mieli przyjemności widzieć niemieckie słowa na listach polskich.

W zastępstwie pewnych pań, które chciały wysłać coś do Sielca pod Jutrosinem i zaznaczyły na kopercie stacyą Jutrosin także po niemiecku, a którym wysyłki poczta odmówiła, udał się do radzcy poczty wydawca „Pracy“ w celu dopomnienia się o sprawiedliwość i słuszność. P. radzca powołał się na reskrypt z Berlina domagający się, ażeby wysyłki, za które poczta odpowiada, miały adres nie budzący żadnych wątpliwości. „A toż chyba adres jest dość wyraźny, gdy nawet w niemieckiej pisowni stacya dopisana“ rzekł wydawca i zażądał odnośnego rozporządzenia na piśmie. P. radzca pokazał wtedy pismo nie opiewające bynajmniej, iż adresy muszą być niemieckie, tylko „że mają być wyraźne i bez żadnych wątpliwości.“

Nie wskórawszy nic wobec osobliwej interpretacyi rozporządzenia ze strony radzcy udał się wydawca „Pracy“ do „Oberpostrata“, a gdy i od niego usłyszał *„dass die Adressen auf Wertsendungen voll und ganz in deutscher Sprache zu zeichnen sind, denn die polnische Sprache ist unverständlich“*, zakończył rozmowę przepowiednią:

„Passen Sie auf, Sie werden noch russisch lernen.“

Pana nadradzcę poczty polecamy uwadze — kanclerzowi Bülowowi, który może by zrobił z niego ambasadora w Petersburgu, gdzie pan nadradzca miał by już wkrótce sposobność przekonać się, że Moskale nawet bardzo tęsknią za okolicą od Skalmierzyc do Torunia......

Lepiej więc pogodzić się z językiem polskim, — bo zaznajomienie się z językiem rosyjskim — byłoby boleśniejszem i nie obyło by się bez operacyi na grzbiecie pruskim....

W każdym zaś razie sądzimy, że urzędnicy zajmujący się w tak wybitny sposób polityką, jak ów pan, jako też i inni urzędnicy, nie mający czasu ekspedyować listów, bo szukają chciwie „wielmożny pan“, aby takie listy wykluczyć od ekspedyowania, nadają się do wszystkiego — ale tylko nie do poczty.

B. M.

Wiec w Książu.

W starodawnym Książu, opromienionym tylu wspomnieniami z dawniejszych czasów i z czasów nowszych, gdy w roku 1848 broniąc się przed Prusakami pół miasta obrońcy woleli w gruzach zobaczyć, niż się poddać, — odbył się imponujący swą okazałością wiec polski w uroczystość Trzech Króli.

Już od południa ściągały do miasta liczne gromady, a gdy około godziny czwartej miejscowy proboszcz X. Wiśniew-

ski wiec zagaił, obszerna sala pana Bulińskiego, jako też trzy przylegające gościnne pokoje po brzegi przepełnione były wiecownikami, których liczba wynosiła, co najmniej 600. Wszystkie stany były reprezentowane. W krótkiej, ale treściwej przemowie powitał X. Wiśniewski w imieniu powiatowego komitetu wiecowników i przedstawił im przybyłego posła pana Józefa Głębockiego, który tak w sejmie, jak w parlamencie z zapałem i umiejętnie praw naszych broni.

Marszałkiem wieca na propozycyę X. prob. Wiśniewskiego obrano jednogłośnie p. posła J. Głębockiego. Marszałek powołał na wicemarszałka X. prob. Zmurę z Chwałkowa, na sekretarza pana Drejzę z Mchów, na ławników zaś p. St. Mietlińskiego z Książa, gosp. Ant. Radzkiego z Konarskich Olędrów, gosp. Tomasza Gabałę z Zakrzewskich Olędrów i gosp. Andrzeja Stępę z Mchów.

Pierwszym mówcą wiecowym był p. poseł Głębocki, który w przeszło godzinnej swej mowie znaczenie i istotę parlamentu niem. i sejmu pruskiego określił — wykazując szczegółowo, jakie sprawy wchodzą w zakres parlamentu, a jakie znów należą do sejmu pruskiego.

Wskazywał też pan poseł, w jak trudnych warunkach znajduje się Koło polskie w parlamencie, a szczególniej w sejmie pruskim wobec wielkiej większości, jaką mają partye nam nieprzychylne i jako wskutek tego, choćby przy pomocy posłów z innych partyi nam życzliwych, Koło polskie żadnej ulgi nam wywalczyć nie może. Jedno jednakże usiłowania posłów odnoszą, tj. częste moralne zwycięstwa. Oprócz tego dają wystąpienia posłów dowód, że żyjemy i że krzywdy nam wyrządzane przed całym światem cywilizowanym są z tego miejsca rozgłaszane i odpowiednio piętnowane. Byłoby więc, choćby tylko z tego względu błędem wielkim, gdybyśmy odstąpili od wyboru posłów i od wysyłania ich do Berlina.

Czwartym i ostatnim mówcą był X. prob. Wruk z Brzostkowa.

Czcigodny mówca wykazał nam przód w myśl Ojca św., jak pożyteczną a nawet konieczną jest praca kapłanów po za kościołem w pośród ludu. I dlatego też chętnie przybyłem do was kochani rodacy — mówił mówca — aby wam na niejedno zwrócić uwagę, co i jak czynić nam potrzeba.

Dobre jest dopominanie się o nasze prawa — i wymiar sprawiedliwości, ale to samo nie wystarczy — cóż może nam pomódz dzielna obrona naszych posłów, jeżeli my tutaj w domu nie będziemy starali się usilnie, jeżeli nie będziemy pracowali, oszczędzali, miłowali się wzajemnie, a szczególnie, jeżeli nie będziemy wypełniali swych obowiązków, jako Polacy i katolicy?

Po tym wstępie czcigodny mówca wykazywał poszczególnym stanom najważniejsze obowiązki, jak je spełniać powinniśmy, aby chwała Boga i pożytek dla sprawy naszej były większe, oraz wytykał nam nasze wady w życiu codziennem, a zachęcał do pilnej a rozsądnej pracy każdego w swoim zakresie, gdyż i najbiedniejszy robotnik może i powinien przyczyniać się do ogólnego dobra przez sumienną pracę i oszczędność, gdyż z jednostek składa się społeczeństwo całe. Im więcej będzie światłych, pracowitych, oszczędnych, moralnych obywateli, tem większe, bogatsze i lepsze będzie społeczeństwo polskie.

Pan Marszałek przeczytał rezolucye, powzięte na wiecu w Śremie — które jednomyślnie przyjęto.

Wreszcie podziękował pan Marszałek X. prob. Wiśniewskiemu za pracę około urządzenia wieca i wzniósł trzykrotny okrzyk na jego cześć. X. prob. Wiśniewski natomiast wzniósł okrzyk na cześć mówców.

Podniosły ten wiec niezawodnie wlał pokrzepienie w niejedno serce przestraszone ostatniemi atakami hakaty na naszą narodowość.

Trzymajmy się tylko zgodnie razem — unikajmy bratnich waśni — a żaden wróg nas nie zwalczy.

Inicyatorom wieca należy się wielkie uznanie i szczera podzięka.

Wiecownik.

Specyalna korespondencya „Pracy“.

Weissensee.

Wśród swych parafian polskich w Weissensee ksiądz Stephan uchodzi za wybitnego germanizatora.

Jest on z pochodzenia Górnoślązakiem i mówi po polsku przynajmniej tyle, że jest w możności zupełnie dobrze porozumieć się z Polakami. Jest to człowiek niezmiernie gładki w obejściu, grzeczny, układny, szczyci się przyjaźnią księdza kardynała Koppa, swym parafianom polskim chętnie stawia siebie za przykład, jak można „będąc Polakiem“ być dobrym Prusakiem i wiernym poddanym władz świeckich.

System jego polega na politykowaniu z uczuciami polskiemi swych parafian. Każdemu z osobna zwierza się ze swej przychylności dla Polaków, aby tem łatwiej opanować wszystkich, gdy są razem. W razach drażliwych wymawia się niemożnością opierania się wyższym wpływom, pomimo jego najlepszych chęci pnącym do germanizacyi.

Dzięki temu politykowaniu doszedł do pewnych wpływów wśród Polaków, wytworzył sobie partię zwolenników, którzy za nim w najlepszej wierze idą, jest wreszcie honorowym prezesem towarzystwa św. Stanisława w Weissensee.

W roku 1899 odprawiał pielgrzymkę do Rzymu, a przywiózłszy z tamtąd relikwie św. Stanisława Kostki dla wybudowanego za jego staraniem kościoła, ciekawą odegrał komedyę wobec swych parafian Polaków.

Wyznał im, że powraca z Rzymu skruszony, — uznaje, iż istotnie nieraz ułatwiał przedtem postępy germanizacyi, ale obecnie, „pod wpływem serdecznej rozmowy z kardynałem Ledóchowskim“ odkrył w sobie serce polskie i odtąd czuje się Polakiem.

Naturalnie tem zjednał sobie serca i zaufanie swych parafian i nakłonił ich do tego, że nie nalegali o kilka słów polskiej przemowy od ołtarza w dzień poświęcenia kościoła, prawie w większej części za polskie wystawionego pieniądze. Na akcie poświęcenia żadne polskie słowo nie obrażało dostojnych uszów kardynała Koppa, rozkoszującego się umiejętnością ks. Stephana w panowaniu nad „polskiemi uroszczeniami“ jego parafian.

Ks. Stephan zaś oznajmił Polakom, że co rok będzie odprawiał w listopadzie nabożeństwo na intencyę św. Stanisława Kostki i połączy je z wspólną spowiedzią i komunią dla Polaków.

W roku 1900 „zapomniał“ o tej obietnicy, aż dopiero na skutek natarczywych nalegań Polaków 21 listopada ogłosił, kiedy odbędą się te obrzędy dla Polaków.

Ale ogłosił to na niemieckiem kazaniu (polskie wówczas opuścił, pomimo że przewidziane było w programie, jako w święto Matki Boskiej.)

Polscy parafianie, którzy uczęszczają na polskie kazania, oczywiście nie słyszeli zapowiedzi, a nie wiedząc o niej, nie przyszli na oznaczoną porę.

Tak ubito sprawę obchodu, poświęconego św. Stanisławowi Kostce, bo to przecież „polski“ święty.

Ale Polacy nie dali za wygraną i zażądali od księdza naznaczenia specyalnego uroczystego nabożeństwa, poświęconego temu patronowi Polaków. Ks. Stephan zgodzić się musiał i oznajmił, że nabożeństwo to odbędzie się tego samego dnia po południu. Liczył zapewne na to, że Polacy nie zdążą się powiadomić nawzajem w ciągu kilku godzin.

Tymczasem na oznaczoną porę zeszli się nietylko prawie wszyscy Polacy z Weissensee, ale nadto i wielu z Berlina przyjechało na solenne nabożeństwo poświęcone patronowi polskiemu.

Wtedy ks. Stephan najspokojniej w świecie odprawił nabożeństwo — niemieckie.

Gdy niedawno odbywały się wybory do dozoru kościelnego, ks. Stephan namawiał Polaków, aby dla zachowania zgody i nie wywoływania niesnasek oddali swe głosy Niemcom „bo to przecież też katolicy“, a gdy Polacy postawiwszy dwóch kandydatów, przeprowadzili wybór jednego z nich, ksiądz Stephan przyjął wiadomość o tem słowami: *Schon wieder ein Pole!*

Ksiądz Stephan nosi się podobno z zamiarami zupełnego skasowania kazań polskich: dlatego to obecność Polaka w dozorze kościelnym jest mu nie na rękę.

Prócz tego postarał się już ten „przy-

jaciel Polaków", aby przełożone klasztorów żeńskich starały się nie posyłać zakonnic Polek do opieki nad chorymi Polakami. Jeśli w polskiej rodzinie zdarzy się ciężka choroba i potrzeba opieki zakonnicy do pielęgnowania, tylko siostry Niemki stoją do dyspozycyi, Polki zaś idą do rodzin niemieckich.

Tak stara się wytwarzać ten kapłan „jedno stado" ze swych różnojęzycznych parafian. *ff.*

Z TYGODNIA.

Na samym początku sesyi parlamentarnej, nasi posłowie przez usta wytrawnego swego mówcy, p. Czarlińskiego, poruszyli sprawę bezprawnego odrzucania przesyłek z polskimi adresami (o czem na innem miejscu piszemy), a równolegle z tem podniósł pan Czarliński również i bezprawne germanizowanie imion i nazwisk polskich przez urzędy stanu cywilnego. Rząd wykręcił się od odpowiedzi na te pytania w ten sposób, że odnośną interpelacyą trzeba będzie powtórzyć przy obradach nad pensyą pana Podbielskiego, jako „jeneralnego pocztmistrza". Pan ten z zawodu wojskowy, zapewne się będzie zasłaniał rozkazami otrzymanymi z wyższych sfer — — hakatystycznych, wobec których zna subordynacyę, ale nasi posłowie nie omieszkają mu przypomnieć, że z ludnością polską niema on prawa postępować tak jak niegdyś mógł postępować ze swymi podoficerami i że skasowania języka polskiego tak odrazu zadekretować mu nie wolno.

Z następujących potem posiedzeń dwa jeszcze zasługują na zaznaczenie — jedno, na którem poseł Jażdżewski interpelował ministra Studta w sprawie zakazu polskich wykładów — i drugie, na którem poseł wolnomyślny Richter, zwracając się przeciw twierdzeniu. że rząd zamało ponosi nakładów dla niemczyzny w Poznańskiem powiedział co następuje:

„Nie pojmuję rzeczywiście, dlaczego wydatki na muzeum i bibliotekę niemiecką umieszczono właśnie w etacie ministerstwa finansów; właściwie przecież należą te pozycye do etatu ministerstwa oświaty. (Głos z ław polskich: „To przecież środki polityczne!") A więc dlatego, że wydatki te mają służyć celom politycznym! Jeżli atoli tak jest, to powinno się umieścić je pod etatem prezesa ministrów. Nie uczyniono tego zapewne z tej przyczyny, że pan Miquel tak bardzo interesuje się sprawą polską. Co do mnie, to bardzo ubolewam nad tem, że sejm stosuje się zawsze do rad i wskazówek pana Miquela w tej dziedzinie. Dostaliśmy się przez to na tak pochyłą drogę, że nikt teraz nie wie, jak dalej jechać. Jest to klątwa praw wyjątkowych, że jedno zawsze pociąga za sobą drugie. Mimo owych 200 milionów na kolonizacyą, usłyszeliśmy niedawno skargi, że polska własność ziemska się wzmaga, że w ostatnich latach 1300 posiadłości przeszło w ręce polskie z rąk niemieckich. To przecież objaw zupełnie naturalny i dziwić się nie można, że się Polacy bronią przeciwko wykupywaniu ziemi. Łączą się tedy i tworzą banki parcelacyjne bez pomocy rządu. Dalej skarżono się, że i w miastach żywioł niemiecki zmniejsza się wobec polskiego. że Polacy popierają tylko swoich itd. — i że wskutek tego stosunki w miastach tych stały się dla Niemców wręcz nieznośnemi. I w tem nie widzę nic dziwnego. Gdy rząd zamienia polskie dzielnice na pole walki, to nic dziwnego, że Niemcom się pobyt w tych dzielnicach nie podoba, że z nich uciekają i że innych na opróżnione przez nich miejsce nawet za drogie pieniądze dostać nie można."

Chcąc innym bieżącym sprawom poświęcić trochę uwagi, nie możemy tu szczegółowo omówić dyskusyi ks. Jażdżewskiego z ministrem Studtem, zaznaczamy zaś, że obracała się ona w zakresie komunałów antypolskich, które pan Studt przejął w spuściźnie po swych poprzednikach.

We Francyi na wszystkich ustach nazwisko majora Cuignet. On jeden, w całej armii francuskiej, miał odwagę wystąpić przeciwko generałowi André, a zarazem napiętnować ministra spraw zagranicznych Delcassé'go, jako fałszerza dokumentów, odnoszących się do sprawy Dreyfusa.

Minister wojny pociągnął go do odpowiedzialności przed Radę dyscyplinarną i osadziwszy go w celi na Mont-Valerien, czekał wyroku.

Rada dyscyplinarna uniewinniła Cuigneta. Minister wojny został skompromitowany, bo uniewinnienie Cuigneta równa się potępieniu André'go.

Należało przynajmniej na tem poprzestać. André postąpił inaczej. Na własną rękę z mocy przysługującej mu władzy, skazał Cuigneta na dwa miesiące aresztu.

I za co? pod jakim pretekstem? Oto za to, że pominąwszy zwykłą drogę hierarchiczną, zapominając o rangach, zwrócił się ze swą rewelacyą bezpośrednio do prezydenta ministrów.

Śmieszny pretekst, bo we Francyi w wolnym ustroju republikańskim czyn ten nie może być chyba poczytany oficerowi za zbrodnię.

Położenie Anglików w Afryce Południowej pogarsza się coraz więcej. Armia wysłana przez Kitchener'a z północy w pogoń za Boerami, którzy wtargnęli do Kaplandu, nie może ich dogonić, oddziały, wystawione przez władze kaplandzkie, nie zdołały ich powstrzymać. Boerowie omijają silniejsze, rozbrajają słabsze oddziały i posuwają się coraz dalej ku południowi, niszcząc po drodze wszelkie środki komunikacyjne. Jeden z największych oddziałów jest już tylko o 4 dni drogi oddalony od Kapsztadu. Władze zażądały posiłków i z pancerników, znajdujących się w porcie, wysadzono na ląd oddział marynarzy z kilku ciężkiemi działami dla obrony miasta.

Prawdopodobnie jednak Boerowie nie myślą o zdobyciu stolicy kaplandzkiej. Przebiegają tylko kraj we wszystkich kierunkach i posuwają się jak najdalej, aby jaknajwiększą część ludności holenderskiej skłonić do powstania. Holendrzy kaplandzcy dotąd na ogół zachowują się spokojnie; pisma angielskie wyrażają jednak przekonanie, że czynią to tylko dla braku broni, ale potajemnie popierają Boerów i dostarczają im wiadomości. Anglicy ze swej strony tworzą wszędzie oddziały ochotników, aby przy ich pomocy zmusić nieprzyjaciela do odwrotu i zapobiedz wybuchowi powszechnego powstania.

Pragnąc jaknajszybciej zażegnać niebezpieczeństwo na południu lord Kitchener ściągnął znaczną część swych wojsk do Kaplandu i w tym celu musiał wycofać załogi z wielu pozycyi transwaalskich i orańskich. Następstwem tego jest znaczne pogorszenie się stosunków także w kraju zajętym. Boerowie i tam okazują wielką ruchliwość i występują coraz śmielej. Nawet miejscowości tak ważne i położone tak blizko głównej kwatery angielskiej w Pretoryi, jak Johannesburg, są zagrożone. Kitchener zawiadomił właścicieli kopalni złota, że nie mogą liczyć na jego obronę, a władze johannesburgskie wydalają z miasta wszystkich obcokrajowców, to jest prawie całą tamtejszą ludność, ponieważ dowóz żywności jest utrudniony. W kopalniach przestano znowu pracować.

Tak więc ta wstrętna walka o złoto, kosztem potoków krwi ludzkiej przez dwa lata blizko prowadzona może się skończyć zniszczeniem kopalń! Słuszna byłaby to kara chciwości.

Dnia 22 go b. m. wieczorem umarła po długiej chorobie w Osborne królowa Anglii, Wiktorya, licząc, 82 lata, panowała 63 lata. Następcą jej jest książę Walii, Albert Edward, urodzony 1841 r.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Stara meklerka karjerowiczów centrowej partyi, „Germania“ która niedawno paradowała z żądaniami germanizacyi Polaków, obecnie licząc widocznie na krótką pamięć polskiego społeczeństwa, zmieniła ton i zaczyna nas „bronić“. Ale Polacy pamiętają jej poprzednią postawę w sprawie polskiej i nie dadzą się złudzić pozorom, które wywołały zapewne przemijające kombinacye polityczne. Swoją drogą ogłoszone niedawno w „**Germanii**“ artykuły w sprawie polskiej nie są pozbawione pewnej dyalektycznej wartości i dlatego je tu przytaczamy.

„Do pożądanych przez hakatystów przepisów należą:

1) Rozprzestrzenienie i dalsze ukształtowanie ustawy o języku urzędowym z 28 sierpnia 1876 r. przez przepis ustawodawczy, wedle którego na wszystkich publicznych zebraniach i w towarzystwach, w publicznem obcowaniu (napisy na tramwajach, handlach i szyldach kupieckich i t. p.), w statutach i protokułach wszystkich banków, spółek i tym podobnych instytucyi wolno używać tylko niemieckiego języka. — 2) Stworzenie osobnej ustawy o polskich towarzystwach. 3) Zniesienie fakultatywnej nauki języka polskiego w wyższych szkołach. — 4) Udzielanie nauki religii w niemieckim języku także w najniższym oddziale szkoły ludowej i zniesienie nauki polskiego czytania i pisania, o ile ona jeszcze istnieje w szkole ludowej. 5) Wykluczenie Polaków od ustanawiania jako urzędników w mieszanych pod względem języka dzielnicach. — 6) Zmiana ustawy prasowej w tym kierunku, że wszystkie pisma i gazety polityczne, które nie wychodzą w języku niemieckim, mają mieć obok tekst niemiecki.“

Po przytoczeniu tego programu hakatystycznego pisze „**Germania**“ dalej:

„Gdy się czyta coś podobnego, zdaje się, jakoby się przeniosło w czasy rosyjskiej polityki Hurki i doprawdy zdumiewać trzeba, że ludzie, którzy słowo: „niemiecka kultura i niemiecki obyczaj ciągle mają na ustach, nie posiadają innego pragnienia, krom tego, by jak najprędzej rządzić i być rządzonymi na modłę rosyjską i azyatycką. W cywilizowanych dziejach 20 stulecia nie będą zaprawdę, owe tezy towarzystwa H K-T. stanowić zaszczytnej stronnicy. Właściwie brakło nam jeszcze tylko tego, aby „rozumne“ rozporządzenie powiatowego inspektora szkolnego w Poznańskiem, o którem polskie gazety referowały przed kilkoma tygodniami, a wedle którego polskim dzieciom szkolnym, choćby musiały iść daleką przestrzeń po zabłoconych drogach, nie wolno „w interesie niemczyzny“ nosić wysokich butów (jak wiadomo, rodzaju obuwia polskiego duchowieństwa) — znalazło zastosowanie w programie związku H-K-T. Byłoby przecież przedstawiało się całkiem dobrze, gdyby jako siódma teza zostało wyrażone do ministra wojny życzenie, aby znajdujący się w wschodnich dzielnicach kawalerzyści dla uniknięcia pozoru ustępstwa dla polskości, zamiast palonych butów nosili kamasze!

„Rozważna polityka wobec Polaków — zwraca się dalej „Germ.“ do konserwatystów — która przy całem stanowczem zwalczaniu narodowych wybryków i extrawagancyi nigdy nie traci z oczu prawa i sprawiedliwości, przyczyni się bez wątpienia do pojednania w dzielnicach wschodnich i przysłuży się interesom kraju więcej, aniżeli polityka przemocy.“

Rozmaite pisma nasze, przytaczając wystąpienie „Germanii“ przypuszczają, że zostało ono spowodowane jakimś nowym demonicznym projektem hakatystycznego rządu. Przypuszczenie to, zdaniem naszem, jest trafne, a obok tego występ Germanii objaśnia się potrzebą naprawy nadwerężonych stosunków między polakami a centrowcami. Centrowcom przecież potrzebna pomoc polska przy wielu mandatach!

Że kryją się jakieś prawa wyjątkowe za kulisami, dowodziłoby tego również i węszenie policyi w celu wykrycia jakiegoś nieistniejącego towarzystwa tajnego politycznego. Oto, co donoszą do „**Westpreussische V. Ztg.** z Pelplina:

„We wtorek przybył z polecenia toruńskiej prokuratoryi komisarz policyjny M. z Gdańska do biskupiego seminaryum duchownego i w obecności X. Regensa przesłuchał siedmiu kleryków, poczem zrewidował ich książki i listy, aby skonstatować, czy nie istniało lub nie istnieje jeszcze w Chełmnie tajne stowarzyszenie studentów dla pielęgnowania historyi i literatury polskiej. Jaki rezultat odniosła rewizya, tego nie donosi zachodnio-pruski organ katolicki.

„Także w Toruniu odbyły się liczne rewizye domowe. Urządzono je w czasie, kiedy uczniowie byli w gimnazyum, sędzia śledczy, komisarze policyjni, wachmistrz i kilku policyantów. Sędzia śledczy zawiadomił rodziców i właścicieli pensyonatów, że ich synowie i pensyonarze są podejrzani o przynależenie do tajnego, polskiego związku politycznego. U kilku gimnazyastów znaleziono dzieła Mickiewicza, Krasińskiego, polskie dzieła historyczne i polskie katechizmy i... skonfiskowano te niebezpieczne książki! Oprócz tego wywiadywała się policya, czy i jakie polskie gazety uczniowie abonują i czytają.

„Nam wydaje się, pisze wobec tego berlińska „Germania,“ ten postępek władz całkiem niepojętym. Sztucznie wytwarza się już wśród polskiej niedojrzałej młodzieży męczenników. Zbytnia gorliwość szkodzi więcej, niż pomaga. Życzyćby należało, aby w przyszłości nie popełniano takich błędów, które należy uważać za owoc przesadzonej lękliwości.“

Uwaga Germanii słuszna — a to tembardziej, że policya pruska obecnie bardziej niż kiedykolwiek wysila się nad wykryciem czegoś — coby jej dało broń przeciw Polakom.

Piękny opis uroczystości rzymskiej zamknięcia „błogosławionego roku“ znajdujemy w „**Czasie:**“

„Dziś tedy przed południem Papież w orszaku dwudziestu kilku kardynałów, około czterdziestu arcybiskupów i biskupów, dostojników swego dworu i gwardyi, patrycyatu rzymskiego, opatów zakonnych itd. itd., przywdziawszy szaty pontyfikalne, a w dłoń ująwszy jarzącą świecę, udał się do starannie oszklonego portyku watykańskiej bazyliki. Tam u stóp posągu Konstantyna opuścił lektykę, aby zasiąść na sedia gestatoria i ze zwykłą uroczystością wkroczyć przez Bramę świętą do Piotrowego kościoła. Rozegrzmiał śpiew: Tu es Petrus, witający następcę galilejskiego rybaka w progach apostolskich. Nie potrzeba podnosić tu potężnego, porywającego wrażenia, jakiego się doznaje, słuchając w tych okolicznościach i na tem miejscu słów owej pieśni. Cichnie ona, a Papież korzy się przed konfesyą swego najpierwszego poprzednika i zwraca się na lewo, aby uczcić wystawione wielkie relikwie, to jest oblicze Zbawiciela, odbite na chuście Weroniki, włócznię setnika, którą bok Ukrzyżowanego przebitym został, oraz część drzewa Krzyża św. Uroczyste wystawienie owych drogich chrześciańskich pamiątek i świętości, zwykło zamykać i wieńczyć caloroczne jubileuszowe obchody. —

„Po dłuższej modlitwie przed ołtarzem Najświętszego Sakramentu, Papież wraca do portyku Bazyliki, przy śpiewie antyfony: „Iucunditate exibitis“, zaczem po raz ostatni przechodzi Bramę świętą, tym razem pieszo, zawsze z jarzącą w lewej ręce świecą i zasiada na tronie, podczas gdy przyspasabiają materyał, potrzebny do zamurowania otwartych przez cały rok jubileuszowy drzwi świętych. Poświęciwszy wapno i cegły, Ojciec święty przyklęka i po trzykroć zaczerpnąwszy na kielnią wapna, takowe rozciąga na progu świętej Bramy, najprzód na środku ze słowami: „In fide et virtute Domini nostri, Jezu Christi filii Dei vivi“, potem na prawo mówiąc: „Qui apostolorum principi dixit,: Tu es Petrus“, nareszcie na lewej dodając: „Et super hanc petram aedificabo Ecclesiam meam.“ Zaczem z rąk Wielkiego penitencyarza odebrawszy trzy pierwsze pozłacane cegły, w jednakim układa je porządku, podczas gdy chór śpiewa hymn: „Coelestis urbs Jerusalem“, a Ojciec św. wymawia słowa liturgiczne, zamykające rok Miłościwy. Następnie inni też dostojnicy Kościoła przykładają dalsze cegły muru, którego dokończeniem zajmą się niebawem „San Pietrini“, czyli rzesza robotników, wyłącznie zajętych przy Bazylice. Zagrzmiało „Te Deum“, przez samego Ojca św. zaintonowane, a udzieliwszy raz jeszcze apostolskiego błogosławieństwa i odpustu, Papież wraz z całym orszakiem wrócił do komnat swoich, przeprowadzany gorącymi okrzykami stutysiącznego tłumu.

Jak się z ostatnich biuletynów gazet dowiadujemy, Papież cieszy się jaknajlepszem zdrowiem i żartobliwie mówi o sobie, że dożyje napewno sto lat.

Z dniem 1 go stycznia r. b. rozpoczął „**Goniec Wielkopolski**“ rok 25-ty swego wydawnictwa i z tego powodu odezwał się w następujących gorących i patryotycznych słowach: „Do przyjaciół:“

„Już ćwierć wieku upływa od chwili, gdy jeden z najzdolniejszych publicystów polskich, śp. dr. Ludwik Rzepecki, uznał potrzebę założenia pisma dla wszystkich stanów, któreby na niewzruszonych zasadach narodowości i wiary oparte, krzepiło i hartowało ducha do ciężkich walk z germanizacyjnym naporem. Zasilany duchowo przez znakomitego obrońcę Ojczyzny, śp. Władysława Nie-

golewskiego, „Goniec Wielkopolski“ siłą prawdy narodowych przekonań coraz więcej zyskiwał sobie zwolenników. I dziś jeszcze, gdy obu mężów od dość dawna mogiły już kryją, widzimy wśród rosnącego zastępu czytelników pokaźny a dla nas zaszczytny szereg obywateli, którzy od samego początku darzyli pismo nasze swą życzliwością. Jestto wielką otuchą dla nas do dalszej pracy, jestto niejako świadectwem, że jakkolwiek pióro redakcyjne zmieniało się niejednokrotnie, to wszakże nie zmieniał się duch kierunkowy, nie zmieniały się główne idee i przekonania, nie zakradało się do łamów naszych przeniewierstwo narodowe lub religijne w miejsce miłości Ojczyzny i Wiary.

„Na trakcie dążeń narodowych niejedno się przekształca i dostósować musi do odmiennych czasów i warunków bytu; atoli równym zawsze i jednakim pozostaje i pozostać musi cel narodowego bytu. A jeśli kiedykolwiek, to właśnie dziś głos starego „Gońca Wielkopolskiego“ silniejszem, niż kiedykolwiek odzywa się w szerokich kołach plemienia naszego echem, że wyznawanie zasad narodowych powinno być jasnem, wyraźnem i szczerem: że zapieranie się narodowości w jakiejbądź formie jest częściowem zapieraniem się Boga, który nam właśnie nadał tę drogą sercu odrębność; że wszelkie przybieranie odmiennych barw niżli te, które nam ojcowie w świętej spuściźnie zostawili, jest hańbą dla współczesnych, a klątwą dla potomności.

„Żadnym też zapewne rozdźwiękiem nie popsuliśmy dawnych haseł naszego pisma. Pozostaliśmy im wierni w tem przeświadczeniu niewzruszonem, że one najmniej zawodzą.“

„Goniec Wielkopolski“ zasługuje ze wszech miar na największe rozpowszechnienie, to też apelujemy do przyjaciół, zwolenników i Czytelników naszego pisma, ażeby życzliwości swej i poparcia mu nie poskąpili w tym jego roku jubileuszowym. *B. M.*

Z całej Polski.

Ponieważ dochodziły nas z wielu stron życzenia, abyśmy zaprowadzili w piśmie naszem krótki tygodniowy przegląd wypadków bieżących *z całej Polski,* gotowi zawsze będąc pismo nasze w miarę rozwoju i poparcia czytelników ulepszać, wprowadzamy z numerem dzisiajszym nową tę rubrykę, w której podawać będziemy drobne wiadomości bieżące ze wszystkich trzech dzielnic Polski.

Red. „Pracy.“

* *

W Galicyi nie przebrzmiał bez wielkiego wrażenia zawarty świeżo sojusz ludowców z X. Stojałowskim.

Próba połączenia wszystkich stronnictw demokratycznych Galicyi w jednym obozie nie powiodła się, ale hasło, wydane na zjeździe demokratycznym we Lwowie, w części przynajmniej zamieniło się w czyn. Stojałowczycy i ludowcy opozycyjni zbliżyli się do siebie pod wrażeniem wspólnej klęski wyborczej i postanowili popierać się nawzajem zarówno w zbliżających się wyborach sejmowych jako też w sejmie i w parlamencie wiedeńskim. Pogodzenie się Stojałowczyków z opozycyjnymi ludowcami zasługuje na uwagę. Dwie te grupy chadzały dotąd różnemi drogami i zwalczały się namiętnie, a jakkolwiek reprezentują te same koła ludności — włościaństwo, w którego żywotnich interesach niema zasadniczych różnic, — przyznawały się jednak do wręcz przeciwnych pod niejednym względem haseł politycznych.

Jak opiewa wspólnie wydany przez wodzów stronnictwa manifest, „za najbliższe swe zadanie uważają oba stronnictwa uświadamianie ludu, budzenie poczucia obywatelskiego i narodowego, a potępiają stanowczo politykę układów z przeciwnikami narodowymi.“

Ustęp powyższy w manifeście zjednoczonych stronnictw dość dziwne robi wrażenie, bo przecież nie kto inny, jak galicyjscy ludowcy wczoraj prawie *udowodnili sądownie księdzu Stojałowskiemu, że jest odstępcą narodowym, że komunikuje się z żandameryą rosyjską i pisuje korespondencye do „Dniewnika Warszawskiego.“*

Dlatego też sojusz zawarty z tym człowiekiem został przyjęty ogólnem zdumieniem. Ha, *tempora mutantur...* Widocznie w oczach ludowców Stojałowski „sporządniał“ od chwili, gdy zyskał dla swych stronników kilka mandatów więcej!

Wczoraj „odstępca narodowy“ a dziś „najbliższy przyjaciel i sojusznik!“ Oj, figlarka z tej polityki i to *bardzo niemoralna* figlarka!

* * *

We Lwowie od nowego roku zaczęły wychodzić dwa nowe pisma. Jeden miesięcznik *„Krytyka“* (dawniej w Krakowie), i jedno pismo codzienne *„Przedświt.“*

Jak się przekonywujemy z pierwszych numerów nowego pisma codziennego — będzie to organ o programie demokratycznym i narodowym, opierającym się wszakże na gruncie ściśle katolickim. Bardzo dodatnio odbija na łamach nowego pisma codziennego brak „politykowania“ — w parafiańsko-galicyjskiem znaczeniu tego słowa. Nie stając na gruncie galicyjskiej klasyfikacyi polityczno-stronniczej, która każdego człowieka etykietuje jakąś specyalnie galicyjską marką polityczną, ma „Przedświt“ wdzięczne przed sobą zadanie.

Przeniesienie „Krytyki“ z Krakowa do Lwowa, połączone będzie zapewne z pewnemi ulepszeniami, jakie jej nowa redakcya zapewni. Redakcyę „Krytyki“ we Lwowie objął znany literat pan Wilhelm Feldman. W prospekcie nowej redakcyi czytamy:

Do celu swego będzie redakcya zdążać przez umieszczanie na czele każdego numeru artykułu wstępnego, roztrząsającego zasadniczo najważniejsze, wypadki w życiu społecznem; rozprawami naukowemi z dziedziny filozofii, biologii, nauk społecznych i historycznych, dającemi możność sformułowania naukowego, syntetycznego poglądu na świat i życie; przez skupianie około pisma wybitnych talentów literackich i artystycznych i udzielanie im możności szczerego wypowiedzenia się; przez pilne śledzenie ruchu umysłowego w Polsce i reszcie Europy.

Na ostatni szczególnie punkt będzie redakcya baczną zwracała uwagę, poczyniła też starania o przeglądy miesięczne ze Lwowa, Krakowa, Warszawy i Poznania, tudzież kwartalne z Paryża, Londynu, Berlina i Włoch, które będą krytycznie omawiały najważniejsze zjawiska w sferze polityczno-społecznej, moralnej i literacko-artystycznej. Temu celowi będzie też służył regularny przegląd prasy polskiej i zagranicznej, tudzież nader obfity dział sprawozdań z bieżących nowości naukowych i literackich, dający możność oryentowania się we wszystkich współczesnych kierunkach umysłowości ludzkiej.

W końcu zaznacza redakcya, że w Galicyi, która daje przytułek 5 tysięcom *„Fliegende Blätter* i *„Interessantes Blatt“*, powinno się znaleść kilkaset prenumeratorów, potrzebnych do utrzymania *„Krytyki„*, która w przeciwieństwie do istniejących trzech miesięczników galicyjskich „(Przeglądu Polskiego“, „Przeglądu Powszechnego“ i „Przewodnika nauk.-literackiego) reprezentować będzie na punkcie społecznych tendencyi najbardziej ku liberalno-socyalnym prądom Zachodu zbliżony kierunek.

* * *

W Warszawie utworzył się komitet, mający na celu walczenie z gruźlicą t. j. suchotami.

Zgodnie z tym programem wydział zamierza: 1) Stworzyć statystykę rozpowszechnienia gruźlicy w Warszawie i w całym kraju. 2) Szerzyć wiadomości o przyczynach gruźlicy i środkach zapobiegawczych drogą rozpowszechnienia broszur i organizacyi odczytów. 3) Badać zaraźliwość gruźlicy w szpitalach i u krów. 4) Wskazać najtańsze i najskuteczniejsze sposoby dezynfekcyowania mieszkań, sal publicznych, szkolnych i szpitalnych, gdzie podejrzane jest siedlisko zarazka gruźliczego. 5) Opracować system najskuteczniejszy leczenia gruźlicy przez zakładanie wzorowych sanatoryów i kolonii.

* * *

Księstwo Poznańskie nawiedzone obecnie straszną epidemją — *„sprzedawczykostwem“*, które jak zaraza lub szarańcza szerzy się po kraju i niszczy rolę polską, znowu ma do zapisania na żałobnej karcie sprzedaż pięknego majątku rycerskiego Naramowic.

Sprzedał je pan von Taczanowsky landbankowi. Opowiadają sobie o nim w Księstwie, że gdy przed kilku laty były wybory do sejmu z powiatów poznańskich i obornickiego, na których Polacy wybrali po raz ostatni Polaka, p. L. Taczanowski dał się wybrać a nie stawił się na wybory. Między wyborcami oburzonymi obiegała pogłoska, że pan Taczanowski nie mógł przybyć, bo musiał być na polowaniu z p. landratem... Przybył, gdy po sześciu tygodniach były wybory uzupełniające na p. Worzewskiego. Już wtedy jednał sobie względy naszych „najserdeczniejszych“...!

* * *

W Poznaniu poczta pruska postanowiła wykluczyć od ekspedjowania przesyłki z polskimi adresami. Obecnie nawet i listy pod tę rubrykę stara się zaciągnąć hakatystyczna ta instytucya. Ks. Czesław Dużyński ogłasza co następuje.

„Dnia 11-go stycznia 1901 posłałem przekazem pocztowym pieniądze i list rekomendowany pod następującym adresem: „Prześwietny Konsystorz Jeneralny Arcybiskupi w Poznaniu (Posen). W sobotę, dnia 19-go wieczorem, dostałem z poczty poznańskiej uwiadomienie, że „die Adresse, Prześwietny Konsystorz Jeneralny Arcybiskupi" ist hier unverständlich". Na me zapytanie, dlaczego przekaz pocztowy i list rekomendowany nie został wręczony adresatowi, odpowiedział mi urzędnik pocztowy w Opalenicy, iż według najnowszego reskryptu, adres powinien być napisany w niemieckim języku, ponieważ urzędnicy pocztowi w Poznaniu nie rozumieją polskich adresów. Żądaniu za płacenia nowego portoryum zadość nie uczyniłem, adres zaś ów pozostawiłem ten sam, opuszczając tylko słowo „Prześwietny". — Upraszam uprzejmie o informacyą, czy jestem zmuszony zapłacić powtórne portoryum, lub też port. za uwiadomienie z poczty, a nareszcie, czy poczta ma prawo zwrócić mi ów list rekomendowany i przekaz pocztowy, napisany zresztą nadzwyczaj wyraźnie".

Ks. Czesław Dużyński, wikaryusz w Opalenicy."

* * *

W Pleszewie odbyło się zebranie wyborców polskich, na którem postawiono kandydaturę p. Dr. A. Chłapowskiego z Poznania i hr. M. Mielżyńskiego. Gdy hr. Mielżyński skończył mówić, wszczęła się ożywiona dyskusya nad porządkiem stawianych kandydatów. Odezwały się w sali liczne głosy za kandydaturą na pierwszem miejscu hr. Mielżyńskiego. Między innymi przemawiał w tym kierunku jeden z obecnych kapłanów. Lekarz miejscowy p. dr. Kubacki oświadczył, że tak list dr. Chłapowskiego, jak przemówienie hr. Mielżyńskiego trafiło mu wogóle do serca, jednakże pierwsze miejsce pragnie zatrzymać dla dr. Chłapowskiego dlatego, że ma wątpliwości w sprawie stanowiska hr. Mielżyńskiego do Centrum, któremu ustępstw żadnych robić nie możemy i nie powinniśmy. *Z.*

Głosy od Przyjaciół.

Pakość.

Kochana „Praco!"

Jako stały i wierny czytelnik „Pracy" wraz z innymi Czytelnikami, których tu „Praca" ma znaczną liczbę, umyśliłem napisać do naszej Redakcyi list o smutnym losie tutajszego Sokoła. Towarzystwo nasze liczy przeszło 30 członków, a więcej niż połowa należy do ćwiczeń. Nie mając innego sposobu, mieliśmy lokal ćwiczeń u Niemca, bo choć jest sala u p. Hilewskiego, to wszakże on, jako nasz rodak, nie może naturalnie dostać od świetnej policyi konsensu na udzielenie nam sali.

Przez namowę Hakatystów jednak Niemiec nie chce pozwolić nam na ćwiczenia, tak że od Zlotu Poznańskiego już nie było ćwiczeń. Hakata tutajsza spogląda tylko rychło Sokół nasz zamrze. Ale do tego nie dopuścimy, druhowie! Stawiamy prośbę do wszystkich druhów, aby nam pomogli wybudować chociaż najmarniejszą szopę, bo gospodarz Niemiec drwi sobie z nas i najpierw mówił, że nie pozwala na ćwiczenia, dopóki sali nie odrestauruje, a teraz powiada, że boi się zniszczenia sali.

Zawiązała się u nas w Sokole muzyka Sokoła i dobrze się rozwija. Ale wszystko upadnie jeśli nie znajdziemy pomocy w celu wystawienia szopy dla ćwiczeń.

A Ciebie, kochana „Praco", która i tu i w całem Sokolstwie masz tylu czytelników, prosimy, przemów do tutajszych swych czytelników, aby wstąpili do Sokoła, jak niemniej do ogółu, aby nam dopomógł w naszem dziele.

Kończymy list ten pozdrowieniem sokolskiem: *Czołem!*

Naczelnik St. Stroiński.
Podnaczelnik L. Leszczyński.

* * *

Zbąszyń, w Styczniu.

Szanowna „Praco!"

Przedewszystkiem donoszę w odpowiedzi na zapytanie w „Pracy", że odpowiedniem miejscem na założenie składu żelaza byłby Zbąszyń. Są tu wprawdzie 2 składy, ale żydowskie. Coprawda miasto Zbąszyń jest bardzo zniemczone, ale okoliczna ludność polska. W parafii naliczyć można około 10 tysięcy Polaków.

Na silną konkurencyą, trzeba być przygotowanym, a zatem tylko człowiek z wystarczającym kapitałem powinien się wziąść do tego interesu.

Również brak składu polskiego bławatnego. Niema ani jednego kupca-Polaka w tem mieście. Żydów jest aż 13, którzy jednak wszyscy z ludu okolicznego ciągną sute zyski.

„Praca" w okolicy Zbąszynia mało jeszcze ludowi znana i na tem miejscu wzywam Szanownych Czytelników, którzy sami mieszkają w Zbąszyńskiem, lub mają tam krewnych i znajomych, aby starali się rozpowszechniać tam „*Pracę*", bo okolice Zbąszynia, Babimostu, Międzyrzecza — to zagrożona placówka! *Tu wcale prawie nie sięga wpływ polskich gazet, a ruch polski w te dzielnice sięga chyba tylko wyjątkowo w czasie wyborów!* Ani nawet nie czujemy, jak wskutek tego zaniedbania z roku na rok zmniejsza się obszar Księztwa i do środkowych powiatów ogranicza.

Nie zapominajcie o tych powiatach na pobrzeżu germańskiego zalewu! Kresy najbardziej się niemczą wskutek małżeństw mięszanych, wpływu szkoły i ubytku większych posiadłości polskich.

Jeszcze raz więc nawołuję: rozpowszechniajcie „*Pracę*" w Zbąszyńskiem!

F.

Od Red. Zorganizowanie biur pośredniczących niestety przechodzi zakres sił naszych.

* * *

Z Górnego Ślązka.

Zarząd istniejącego w Katowicach polsko-katolickiego kasyna donosi nam, że dlatego tylko we Wrześniu 1900 r. dało wydrukować ogłoszenia o zabawie swej w niemieckim języku, ponieważ policya tamtejsza *zakazała ogłoszeń w języku polskim.* Towarzystwo to więc prosi, aby nasi Górnoślązacy nie mieli żadnych wątpliwości co do jego polskiego charakteru, dowodem czego będzie fakt, iż teraz pomimo istniejącego zakazu policyi, towarzystwo każe prócz niemieckich, drukować i polskie ogłoszenia i rozpowszechnić je będzie prywatną drogą pomiędzy znajomymi. Również też wiadomo nam, że te plakaty zostały wykonane w polskiej drukarni.

Miło jest „Pracy", że jej słowa do tak pożądanego doprowadziły wyniku i życzy temu towarzystwu polskiemu (w Deutsches Haus, ulica Cesarska) rozwoju na drodze polskiej pracy!

Na zjazd śpiewacki w Essen n. R. nadszedł list Kościuszkowski z następującemi życzeniami:

Cześć polskiej pieśni!

Pieśni ojczysta! drżę przed twą potęgą,
Zachwytu pełen na ciebie spozieram,
Ty, otoczona błogich marzeń wstęgą,
Sprawiasz, że serce zbolałe otwieram,
I dla drużyny *w Essen* dziś zebranej,
Swięte ślę słowa braterskiej miłości,
Dzieciom tej wielkiej ziemi potarganej,
Mówię o Lachów świętej powinności:
Miłość niech łączy, co się rozdzieliło,
Miłość niech uczci świętą przodków mowę,
Miłość niech zatli, co się już wytliło...
Miłość przepełni i serce i głowę.
A Bóg odejmie karzącą prawicę,
I pękną srogie łańcuchów ogniwa,
On z grobu zbudzi uśpioną dziewicę...
Z nią nuta Ojców znowu będzie żywa,
I serca Wasze tęsknotą dziś ścięte,
Wrócą z radością w miłe polskie strony,
Gdzie spoczywają Ojców kości święte,
W ten kraj, z uśmiechu dziś ogołocony...

Poznań. *Fr. J.*

Powstanie styczniowe.

(22 stycznia 1863 r.)

odczyt dla Towarzystw polskich
przez
Stefana Barszczewskiego.

Po smutnem zakończeniu, a właściwie przerwaniu powstania w r. 1831, patryoci polscy nie mogli trwać w bezczynności. Prawda, że pod wszystkiemi trzema zaborami prześladowanie i ucisk naszej narodowości zwiększyły się niesłychanie, że o dopiero co ukończonej walce słówkiem nawet wspomnieć nie było wolno, ale zato za granicą, we Francyi, Anglii i Szwajcaryi, gdzie głównie skupiła się polityczna emigracya nasza, wrzało jak w ulu. Rozbiór krytyczny

wojny w r. 1831 r. wykazał, że z chwilą, gdy jenerałowie Giełgud, Rybiński i Romarino przechodzili granicę pruską i austryacką na czele swoich korpusów, by broń złożyć Prusakom i Austryakom, wojsko polskie liczyło jeszcze blizko 80 tysięcy, a zatem dalsza walka była możebną, a więc nie biliśmy się do ostatka, jak tego kazał honor narodowy. Tej myśli patryoci znieść nie mogli, tej myśli, szczególnie młodzież strawić nie mogła. To też nieszczęśliwi ci, pozbawieni ojczyzny, a pełni zapału i tak świeżych wspomnień bohaterskich epizodów walki naszej, musieli wyszukać przyczynę niepowodzenia i znaleźli ją staje się niemal istotnym rządem narodowym poza granicami kraju.

W roku 1836 po dwuletnich przygotowaniach ogłasza towarzystwo to słynny w historyi swój manifest, w którym czytamy wiekopomne te słowa:

„Wszystko dla ludu przez lud: oto najogólniejsza zasada demokracyi, cel i formę obejmująca. Wszystko dla ludu, dla wszystkich — jest celem; wszystko przez lud, przez wszystkich — jest formą...

„Odrodzona, niepodległa Polska ludową będzie."

Obóz postępowy, reprezentowany przez to towarzystwo Demokratyczne



Fryderyk Chopin. (medal)

w arystokracyi wojskowej i politycznej ostatniego rządu narodowego z ostatnim jego naczelnikiem, ks. Adamem Czartoryskim. „Nieszczęśliwi są niesprawiedliwi", mówi jeden ze znakomitych krytyków naszych, i tak jest rzeczywiście. Wychodźctwo nasze myliło się, przypisując wyłącznie arystokracyi niepowodzenie powstania listopadowego. Nie tu miejsce udawadniać prawdę tego twierdzenia, dosyć, że pod wpływem powyższych podejrzeń w wychodźctwie naszem utworzyły się dwa wrogie sobie obozy. Do pierwszego z tych obozów należeli exdygnitarze, jenerałowie, starsi wojskowi i wogóle ludzie zamożni lub zajmujący pewne stanowiska w b. rządzie narodowym; do drugiego — reszta wychodźctwa, stanowiąca znaczną większość, gorącego usposobienia przeciwnicy szlachty. Za sprawą tego ludowego stronnictwa emigracyi naszej powstaje d. 17 marca 1832 r., w Paryżu, *Towarzystwo Demokratyczne* i od razu zdobywa sobie uznanie i olbrzymie grono zwolenników, i obóz arystokratyczny, nazwany zwykle obozem hotelu Lambert, od nazwy pałacu ks. Czartoryskiego w Paryżu, prowadziły z sobą walkę zaciętą, nieubłaganą. Nie było wyzwisk, oszczerstw, podejrzeń, którehy sobie wzajemnie nie rzucano w oczy i choć oba stronnictwa pragnęły odbudować Polskę, to jednak każde z nich szło inną drogą. Partya Czartoryskich mianowicie szukała zbawienia w robocie dyplomatycznej, wysyłając protesta i prośby do wszystkich gabinetów europejskich, partya zaś demokratyczna dążyła do wywołania rewolucyi ludowej, nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie. W tym punkcie obie partye zgadzały się z sobą, obie bowiem nie tyle liczyły na własne siły ile na pomoc obcych narodów. Przytem wychodźctwo nasze przedstawiało sobie położenie polityczne Polski w takich kolorach, że zdawało mu się niemożebnem, aby w razie rozpoczęcia zbrojnego powstania cały naród polski nie stanął do broni. Jak mówi Chociszewski: „emigranci przez długą nieobecność tracą znajomość krajowych stosunków i wystawiają sobie położenie i dążności tak jak sobie życzą, a nie jakiemi są w rzeczywistości." Całą prawdę tego twierdzenia udowodniła bohaterska praca Szymona Konarskiego, rozstrzelanego w Wilnie w r. 1839, udowodniło powstanie w r. 1846 w Galicyi, zakończone straszną bratobójczą rzezią szlachty przez włościan podburzonych przez rząd austryacki, tych włościan, dla których właśnie dobra powstanie zostało wywołane; udowodniło wreszcie krótkotrwałe powstanie w r. 1848 w Wielkopolsce.

Wszystkie te ruchy i powstania zostały wywołane za staraniem lub pod wpływem działalności tow. Demokratycznego. *Wielka ztąd dla nas, żyjących, wypływa nauka; nie działajmy na ślepo, nie przedstawiajmy sobie położenia politycznego w kraju, tak jakbyśmy pragnęli.*

W Polsce tymczasem, jak już wspomniałem, ucisk był straszny. Szczególnie pod zaborem rosyjskim prześladowania „zaciążyły grobowym kamieniem na piersiach narodu polskiego". Dopiero po śmierci cara Mikołaja odetchnięto swobodniej. Car Aleksander nie pod wpływem dobrego serca, ale zmuszony niejako duchem wolności i tolerancji, obejmującym podówczas całą Europę, a także poniżenie Rosyi przez Anglię i Francyę pod Sewastopolem — przystąpił do szeregu reform społecznych, okazał się życzliwszym dla Polaków niż jego ojciec. W Warszawie pozwolono założyć Towarzystwo Rolnicze, które skoncentrowawszy w sobie obywatelstwo kraju, stało się niejako reprezentantem narodu. Powstaje także w Warszawie akademia medyczna, w szkołach dano swobodę językowi polskiemu i pomimo tego, że cenzura moskiewska była nadzwyczaj ostrą, pozwolono po raz pierwszy drukowac takie rzeczy, jak niektóre Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, o czem za czasów Mikołaja marzyć nawet nie było można.

Wszystko to jednak było kroplą w morzu wobec pragnień narodowych, świeżo wzmożonych przez zwycięstwo idei narodowości w Europie zachodniej. Austrya bowiem, władając podówczas całemi północnemi Włochami, nie chciała uznać narodowości, tylko państwo, i ogłosiła, że, „że podział Europy na narodowości jest tylko utopią". Tymczasem Francya, a raczej Napoleon III. ujął w swe ręce sprawę narodu włoskiego i pobił haniebnie Austryjaków pod Solferino. Włochy powstały jako naród. Porażka idei państwowej ogromnie rozogniła umysły w naszem społeczeństwie, gdy zaś dowiedziano się o zajęciu królestwa Sycylii i Neapolu przez czterotysięczny zaledwie zastęp ochotników pod wodzą Garibaldiego, po całym kraju rozeszły się głosy: Dlaczego my, Polacy, niemoglibyśmy tak samo wywalczyć dla kraju naszego wolności!

Pod wpływem zwycięstw idei narodowej w zachodniej Europie, Austrya zmuszoną była do ustępstw narodom składającym jej państwo. Najwięcej na tem zyskali Węgrzy, lecz i Galicya nie została pominiętą. Skończyły się rządy niemieckiego Bacha, namiestnikiem Galicyi został hr. Agenor Gołuchowski, młodzież domagać się zaczęła wprowadzenia języka ojczystego w szkołach i, czując się swobodną, pospieszyła po raz pierwszy

w roku 1860 do publicznego urządzania obchodów narodowych.

Do Warszawy wieść o tem przyleciała lotem ptaka pomimo kordonów granicznych i najściślejszej cenzury. Umysły więc młodzieży rozogniły się tak, że potrzeba publicznego zamanifestowania swych uczuć stała się konieczną. Dnia 11 czerwca 1860 odbył się w Warszawie pogrzeb Katarzyny Sowińskiej, wdowy po jenerale, bohaterskim obrońcy Woli. Sto tysięcy ludu brało w nim udział, a po pogrzebie tłumy udały się na okopy wolskie, by uczcić pamięć dzielnego wodza polskiego. I odtąd zaczął się szereg manifestacyi, które kończyły się śmiercią męczeńską setek ludu warszawskiego. Wiara w dobre chęci cara Aleksandra rozwiała się zupełnie. Zaczęto szukać ludzi, którzy mogliby ster nawy narodowej ująć w swe ręce i poprowadzić ją ku wolności. Wszystkich oczy zwracały się ku towarzystwu Rolniczemu, na którego czele stał Andrzej Zamojski, człowiek nadzwyczajnej zacności charakteru i wielkich zdolności.

Towarzystwo Rolnicze zdziałało wiele dla kraju, składając się jednak z samej szlachty, nie mogło przeniknąć się żądaniami ludu. Wystąpienia towarzystwa, jak nap. adres do cara, po manifestacyi z dnia 27 lutego 1861 r., w której pierwszy raz krew się polała, były niezdecydowane, nie odpowiadające ważności chwili, to też wszystko się gmatwało. Namiestnik królestwa, ks. Gorczakow, działał niezręcznie, policya i żandarmerya — na swoją rękę, wojsko — na swoją, wreszcie car Aleksander, pragnąc położyć kres temu wszystkiemu, zamianował naczelnikiem rządu cywilnego Królestwa Polskiego Polaka, margrabiego Aleksandra Wielopolskiego.

Wielopolski był człowiekiem ogromnych zdolności i pragnął szczęścia Polski, przytem jednak posiadał zbyt wysokie mniemanie o sobie, był niesłychanie dumny i szorstki w obejściu, przytem zaś przejęty na wskroś zasadami arystokracyi rodowej. Tłumu, albo jak wówczas mówiono, „ulicy“ nienawidził, odpychał z pogardą wszelki cień łączności z ideami młodzieży i klasy rzemieślniczej. To też wszystkie jego usiłowania zaprowadzenia porządku we wzburzonych umysłach kończyły się niczem, albo raczej stawały się przyczyną coraz większych zawikłań, manifestacyi i krwi rozlewu. Wreszcie, jak się sam później wyrazi, nie mogąc dosięgnąć głowy ruchu rewolucyjnego — chciał mu ręce odciąć. W tym celu nakazał pobór do wojska wszystkich osób wskazanych przez policyę, natomiast włościan, czeladź dworską i właścicieli ziemskich uwolnił od poboru, zniósł przytem losowanie. Ukaz ten był poprostu zesłaniem na wygnanie w głąb Rossyi dziesiątków, jeżeli nie setek tysięcy uczącej się młodzieży i rzemieślników wszystkich miast Królestwa, to też przejął wszystkich zgrozą. Dnia 17 stycznia 1863 odbyła się branka. Wojska zajęły w nocy ulicę Warszawy, a policyanci, wchodząc do domów, zabierali młodzież, zapisaną na listę podejrzanych i w oddziałach złożonych z kilkudziesięciu brańców, powiązanych za ręce, prowadzili do cytadeli. O godz. 5 rano wszystko było skończone.

„Dzienik Powszechny“ — organ urzędowy Wielopolskiego ogłosił wtedy że „wszystko odbyło się spokojnie, że nigdzie nie doznano oporu i że spisowi okazali wszędzie radość i zadowolenie, iż pójdą kształcić się w szkołach porządku, które im służba wojskowa otwierała“. Takie słowa naigrawania dopełniły czary goryczy. Do tysiąca blisko młodzieży, która uciekła przed poborem w lasy sąsiednie, przyłączyli się gorętsi patryoci i rozpoczęła się walka.

Nie trzeba jednak sądzić, że ten pobór do wojska był przyczyną powstania. Powstanie byłoby wybuchło w każdym razie prędzej czy później. Jeszcze bowiem w październiku 1861 r. powstał w Warszawie tajny komitet rewolucyjny p. n. Komitetu Warszawskiego, pozostający w ścisłej łączności z komitetem zagranicznym w Paryżu. Komitet ten w czerwcu następnego roku zamienił się na Komitet Centralny Narodowy znakomicie zorganizowany i będący w rzeczywistości tajnym rządem narodowym.



Jan III. Sobieski

z portretu współczesnego, znajdującego się we Lwowie w kamienicy Sobieskich.

Celem tego komitetu było przygotowywanie kraju do powszechnego powstania, a że mógł dopiąć tego celu, najlepszym dowodem jest to, że nakładane przez niego podatki wszyscy płacili bez szemrania, że posłuch wszędzie miał ogromny i że wreszcie duchowieństwo nasze, dając piękny przykład poszanowania władzy narodowej, przyjęło cały jego program, z „wyjątkiem tego, coby przekraczało przeciwko wolności i prawom kościoła rzymsko-katolickiego“.

Dnia 16 stycznia Komitet Centralny wydał odezwę, w której ogłaszał „kraj cały w stanie insurekcyi“ i nakazywał wszystkim bronić się przeciwko poborowi oraz uwalniać tych, którzy już znajdują się w ręku Moskala, a użyczać pomocy tym, którzy się ukrywają; lecz nie wywoływać walki, uważając ją za przedwczesną w tym czasie. Widząc jednak w końcu, iż jej nie wstrzyma, gdyż działanie rozpoczęto bez jego woli, musiał kierunek ująć w swoje ręce, by zaprowadzić porządek i plan działalności. Zmuszony więc był niejako do ogłoszenia się tymczasowym Rządem Narodowym i wydał dnia *22 stycznia 1863 r.* słynną swą odezwę, datującą formalny początek powstania. W odezwie tej ogłosił: „wszystkich synów Polski, bez różnicy do wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju“, ludowi oddawał na własność wieczystą ziemię przezeń uprawianą i wzywał cały naród do broni.

I tak rozpoczęły się chwile krwi i łez pełne, których dzieje dotychczas jeszcze nie są należycie ocenione, choć z dzieł traktujących o nich możnaby już sporą bibliotekę ułożyć. Dzieje to pełne bohaterskich czynów, błędów i klęsk są jednak zawsze świadectwem wielkiej żywotności narodu naszego, są jednak zawsze świadectwem tego, że naród polski po największych nawet przejściach i nieszczęściach nie upada, żyje i coraz bardziej zbliża się do ostatniego odzyskania wolności.

Powstanie szybko bardzo ogarnęło całe Królestwo i Litwę, wszędzie staczano walki mniej lub więcej szczęśliwe, wszędzie formowały się oddziały i pomimo tego, że lud obojętnie się zachowywał, a nawet czasem wrogo występował, z wyjątkiem ludu litewskiego; pomimo tego, że rząd moskiewski sprowodził do Polski 150.000 świeżego żołnierza — powstanie przetrwało dwa lata, a nawet więcej, ostatnia bowiem potyczka z Moskalami miała miejsce d. 26 kwietnia 1865 r. na Podlasiu, pod dowództwem bohaterskiego księdza Stanisława Brzóski.

Z wodzów tego powstania najgłośniejszym był Maryan Langiewicz. Walczył on dzielnie z Moskalami pod Jedliną, Szydłowcem, Bodzentynem, Suchedniowem, Górą, Wąchockiem i Staszowem, a szczególnie pod Węgrowem d. 8 lutego 1863 r. W tej bitwie 200 powstańców rzuciło się na armaty moskiewskie.

Artylerzyści uciekli, ale nadbiegła piechota moskiewska. Rodacy nasi tak dzielnie walczyli, że wyginęli co do jednego, ale zato ocalili cały oddział dowódcy Sokoła, który zdołał szczęśliwie cofnąć się z pola bitwy.

W marcu ogłosił się Langiewicz, za namową niektórych ze swych zwolenników, dyktatorem, od tej chwili jednak, mając głowę zaprzątniętą polityką, nic więcej nie zdziałał na terenie wojennym, to też napierany przez Moskali, musiał przejść granicę galicyjską.

Rząd Narodowy, pragnąc wyzyskać sławę jenerała Mierosławskiego, zamianował go dyktatorem, zanim jeszcze Langiewicz zamianował się takowym. Jenerał Mierosławski jednak pobity przez Moskali na samym wstępie do Królestwa Polskiego pod wsiami Krzywosądzą i Nowąwsią, uciekł, okazawszy się zupełnie niezdolnym do kierownictwa sprawą.

Z innych wodzów powstania zasłynęli: Karol Mielęcki, Edmund Taczanowski, jenerał Jeziorański, Borelewski-Lelewel, Czachowski, Chmieliński, E. Callier, Heidenreich-Kruk i jenerał Hauke-Bosak.

Na Litwie zasłynęli: Narbut, Zygmunt Sierakowski, Paweł Susin i ksiądz Mackiewicz.

Prawie wszyscy ci wodzowie zginęli na polu bitwy lub na szubienicach. Kilku zaledwie, jak Jeziorański, Hauke, Callier i Taczanowski — zdołali ujść cało.

Przez cały czas powstania rządził faktycznie Polską Rząd Narodowy z siedliskiem w Warszawie. Pracował on gorliwie, uczciwie i był znakomicie zorganizowany. Z początku pozostawał on w rękach ludzi, pragnących dobra całego ludu polskiego, tak zwanych Czerwonych, gdy jednak prace jego postąpiły tak daleko, że prawdopodobną stała się interwencya mocarstw europejskich, a więc sprawa narodowa zdawała się polepszać, wtedy zagarnęli rząd tak zwani Biali, t. j. stronnictwo arystokratyczno-szlacheckie, któremu nie chodziło o walkę za prawa ludu, a tylko o wojnę z Rosyą. Ma się rozumieć, że wywołało to rozgoryczenie i rozdwojenie w szeregach patryjotów i od tej chwili powstanie zaczęło widocznie upadać. Gdy zaś rząd moskiewski pochwycił i kazał powiesić członków Rządu Narodowego: Romualda Traugutta, Rafała Krajewskiego, Józefa Toczyńskiego, Romana Żulińskiego i Jana Jeziorańskiego, dnia 5 sierpnia 1864 r. w Warszawie, faktyczny Rząd Narodowy przestał istnieć.

Dużo już napisano i dużo jeszcze można napisać o przyczynach upadku powstania Styczniowego, głównym jednak rysem znamiennym wszystkich sądów o nim był i będzie jeden, a mianowicie: *brak uświadomienia ludu, nie możność wywołania powstania ludowego.*

Ostatnie powstanie zdumiewa nas swoją uporczywością i zuchwałością, chociaż największa część narodu, włościanie, wzięła w niem względnie mały tylko udział. Można o niem powiedzieć, że mierzyło siły na zamiary, nie zamiar podług sił.

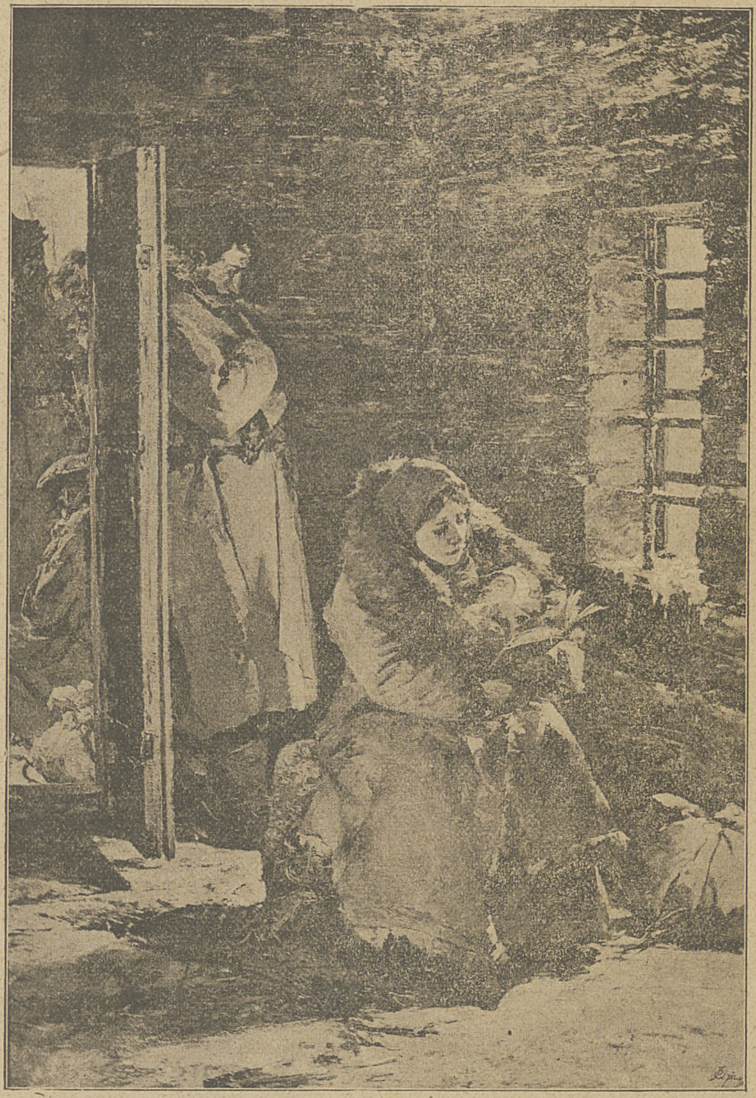
Powstanie 1863 r. zaznaczyło ważny moment w rewolucyi naszej narodowej. Rozcinając zależności włościan, odbierało społeczeństwu szlacheckiemu to znaczenie i tę przewagę, jakie dotąd ono miało. W ten sposób usuwała się jedna z największych przeszkód do szybszego przeobrażania się stosunków społecznych, które rozpoczęło się od konstytucyi 3-go maja 1791 r. Wraz z powstaniem w 1863 r. zamknęła się — rzec można — ostatecznie epoka szlacheckiej Polski.

W świadomości narodowej wzmagają się natomiast interesy ludowe i powstaje ideał uspołecznienia całego narodu, t. j. przeistoczenia go w jedno społeczeństwo organiczne, spójne i silne.

Złote myśli Henryka Sienkiewicza.

— Zauważyłem to już dawno, że w Polsce jak każdy szlachcic ma swojego żyda, którego wyłącza z ogólnej niechęci do żydów, tak każdy demokrata ma swojego arystokratę, do którego czuje wyjątkową słabość.

— Nigdzie na świecie niema takiego braku równowagi w kulturze klas społecznych, jak u nas. Z jednej strony wykwit albo może i przekwit kultury, z drugiej strony absolutne barbarzyństwo i ciemnota.



SROGA ZIMA.

(Do illustracyi).

Jakże to świeżo i ładnie,
Kiedy mróz ściśnie grunt grząski,
I tęczowemi gałązki,
Na szyby okien się wkradnie.

Wtedy na rękach piastunki,
W cienkiej koszulce swej dziecię,
Patrzy jak ślicznie na świecie,
Jak cudne zimy rysunki...

Bo w czystej, jasnej alkowie,
Są drwa, i ciepła dostatek,
Dla ojca, matki i dziatek,
Bo tam mieszkają.. panowie.

Lecz bywa — świat się zachmurzy;
I mroźnym wichrem uderzy,
I w ciepłej nawet odzieży,
Nie śmie nikt spotkać tej burzy.

Świat wzdycha w strasznym powiewie,
Jakby bez Niebios opieki,
Wyją psy, wilki, grzmią rzeki,
Ptaszek zamiera na drzewie...

Jakoż tam wtedy w tym kątku,
Kędy przez okno klejone,
Mróz wpycha wichry szalone
Gdzie także... nucą dzieciątku?

Jakoż tam!?... Wstańże, wstań z puchu,
Ty, co masz złota tak dużo,
Osłoń te kwiaty przed burzą,
Gdy chcesz być wesół na duchu...

Wnieś tam choć krótkie wesele,
Rozgrzej krew matki stężałą,
Ach, czemuż serca tak mało,
A biednych ludzi tak wiele!

Józef z Mazowsza.

Krwawe Ofiary.

Powieść z francuzkiego

przez

F. de B.

(Ciąg dalszy.)

— P. Tolbiac mieszka przy ulicy Godot de Mauray.

— W dzielnicy Madeleine...

— Tak, to daleko od bulwaru Hopital, gdzie ja mieszkam i nie miałem jeszcze czasu pójść do niego. Ale jutro mam dzień swobodny i trzeba będzie się zgłosić.

— Więc macie do niego interes, ojcze? — spytał agent, który z przyzwyczajenia zawodowego nie omijał nigdy sposobności wyciągać ludzi na rozmowę. Gotów jestem się założyć, że go chcecie prosić o protekcyę do zwierzchnika.

— Wcale nie. Tylko znalazłem pieniądze, które on zgubił i jego bilet wizytowy. Więc chcę mu oddać.

— Mieliście sposobność przed chwilą.

— Tak, ale nie wziąłem ze sobą tych pieniędzy... A zresztą chciałbym z nim porozmawiać.

— Zapewne wedle nagrody?

— Nie dbam ja o jego nagrodę, a jeżeli pójdę do niego, to tylko po to, żeby mu nawymyślać.

— Cóż on wam zrobił, ojcze?

— Wyobraźcie sobie, w zeszłym tygodniu przyszedł do mojej zwrotnicy i coś mi prawił o jakiemś dziedzictwie, które jakoby należało się mojej córeczce i rozsiał złoto po szynach. Pociąg o mało nie przejechał mojej małej, bo je chciała pozbierać.

Odszedł, nie troszcząc się o zgubę, a że to, co mówił wydało mi się czemś podejrzanem, więc gdy mu pieniądze odniosę, to go zapytam, poco on mnie tak manił takiemi opowiadaniami.

— Zabawna historya! — zawołał Piédouche — swoją drogą na waszem miejscu nie zadzierałbym z tym człowiekiem. Musi on mieć duże stosunki. Ale przepraszam was, żona na mnie czeka, a zaprosiłem tego oto przyjaciela na skromny obiadek.

— To ja przepraszam, że wam tyle czasu zająłem. Dobranoc i do widzenia. Jeżeli będziecie kiedy na dworcu Orleańskim, to zapytajcie o Piotra Cambremera. Każdy wam wskaże, gdzie mnie szukać i wypijemy znowu kilka kieliszków.

— I owszem, i owszem — odparł rzekomy tragarz, odchodząc ze swoim przyjacielem, rzekomym posłańcem.

Gdy doszli do rogu ulicy des Charboniers, krzyżującej się z bulwarem Mazas o jakie pięćdziesiąt metrów od więzienia, Piédouche stanął i odwrócił się, żeby się przekonać, czy zwrotniczy za nim nie idzie.

A widząc, że nie, pomyślał, iż Cambremer poszedł na kolej, zaśmiał się i rzekł do Pigache'a:

— Poczciwiec, ani się domyśla, że miał do czynienia ze *szpiclem* i to pierwszej wody. Dziwne to jednak, że spotkał Tolbiaca w chwili właśnie, gdy on pracuje dla prafektury. Toby mu dogodził, gdyby zbliżył się do niego. Okazuje się, że w naszym zawodzie trzeba zawsze liczyć na niespodzianki.

— Byle do nas nie podszedł w chwili, gdy wyjdzie głuchoniemy — wtrącił Pigache.

— Niema obawy, zobaczylibyśmy go zdaleka, a onby nas nie widział, ponieważ będziemy stali przy murze.

Słuchaj no, stary — ciągnął dalej Piédouche — mnie się zdaje, że ten Tolbiac, to wielki łgarz i samochwał. „Naciąga“ naszego szefa, obiecując, że wyświetli tę sprawę za miesiąc. Niech mnie kaczki zadziobią, jeśli on zabrał się do rzeczy. Zajęty zupełnie czem innem. Myśli tylko o jakichś sukcesyach... najlepszy dowód, to, co mówił przed chwilą zwrotniczy.

— I mnie się ten policyant angielski nie podoba.

— Uważałeś, gdy mu przed chwilą wspomniałem o wyznaczonej nagrodzie, sianem się wykręcił. Nie wierzę ja, że po konfrontacyi wyliczy mi te pieniądze. Chciałbym ja być tak pewnym, że je dostanę, jak jestem pewny, że młody Lecoq zabił kobietę i kupca.

Biedny ojciec. To tak zawsze, jak się dzieci psuje i chce się z nich zrobić frantów. Gdyby ojciec Lecoq był syna umieścił w policyi, toby się chłopak inaczej pokierował.

— Szkoda staruszka. I ja pod nim służyłem. Ten dotrzymywał zawsze, czego obiecywał.

— A jego metoda była sto razy więcej warta od metody Tolbiaca. Ojcu Lecoq nie przyszłyby na myśl te fortele z powozami, te konfrontacye, w mieszkaniu. Wszystko to komedye, żeby ten swój system angielski zachwalić. Ale nie bardzo zachwycają się nim w prefekturze. Wszak głuchoniemy poznałby podsądnego w więzieniu.

— Przytem te wszystkie wymysły czasami bardzo źle się kończą. W razie nieudanej wszystko się na nas skrupi.

— Prawda, ale cóż począć — zakonkludował filozoficznie Piédouche. — Nie każdy może być generałem, ani oficerem, a kule najczęściej trafiają w żołnierzy. Dość już tej gawędy Wybiło właśnie wpół do ósmej. Czas zająć stanowisko.

Pigache nic na to nie odpowiedział i dwaj agenci, zbliżyli się powoli do więzienia i wedle rozkazu stanęli o dziesięć kroków od bramy. Tu oparli się o mur i ukryci w cieniu czekali nieruchomo w milczeniu.

Było bardzo zimno. Śnieg prószył. Szyldwach schronił się do budki, a wieczorem bulwar Mazas bywa zwykle pustym.

Natomiast ulica Lyon i przyległe do niej bardzo się ożywiły z chwilą nadejścia wieczornych pociągów.

Dorożki z pakunkami, prywatne powozy, omnibusy nadjeżdżały od strony Bastylii i pozostawiając Mazas na lewo, skręcały w stronę dworca.

Był to czas, w którym ludzie wyjeżdżają do Włoch i do Monaco, tak, że wszystkie arterye, prowadzące do dworca Lyońskiego, były po prostu zalane.

— Jaki ten Tolbiac osieł! — mruczał Pigache. — Że też nie mógł wybrać innej chwili dla schwytania głuchoniemego. Człowiekowi kręci się w głowie od tego zamętu.

Istotnie trudno było śledzić okiem wszystkie wehikuły; ponieważ jednak przejeżdżały mimo policyantów tylko bokiem, więc nie mogli się oni omylić i czekali dość spokojnie zjawienia się szafirowej karetki.

Zegar dworcowy wybił trzy kwadranse na ósmą, ruch jeszcze się zwiększył. Pociąg miał wyruszyć, maruderzy pędzili tłumnie.

Upłynęło jeszcze dziesięć minut. W chwili, gdy duża igła tarczy zegarowej stanęła na jedenastej, na rogu ulicy Lyon skręciła karetka i stanęła przy murze więziennym o dziesięć kroków za bramą, a zatem o dwadzieścia kroków od agentów.

— To on — szepnął Piédouche. — Nie dostrzegam koloru pudła, ale konia poznaję. Zdaje mi się jednak, że stangret nie jest owinięty w futro, jak przedtem... Powinien był zapalić większe świece w latarniach. Nic nie widać.

— Któżby to mógł być inny, jak nie Tolbiac — odparł szeptem Piédouche. — Nikomu nie przyszłoby przecież na myśl wystawać przed więzieniem.

Piédouche był zapewne tego samego zdania, co kolega, bo nic na to nie odrzekł.

Wybiła ósma. W tej chwili otworzyła się furtka w bramie. Dozorca wyprowadził głuchoniemego.

Agenci stali, jak wryci.

Naczelnik wyznaczył im rolę bierną. Mieli tylko śledzić każdy ruch człowieka wypuszczonego na wolność i tropić go na wypadek, gdyby do karetki nie wsiadł.

Reszta była już rzeczą Tolbiaca, a że szafirowa karetka była na stanowiskn od pięciu minut, więc żadna odpowiedzialność nie ciążyła na agentach.

Poprzestali na obserwowaniu i nie spuszczali z oka niemowy, który postąpił kilka kroków naprzód i nagle stanął, zaślepiony światłami, bijącemi z dworca.

Patrzał prosto przed siebie, nie odwracał głowy ani na prawo, ani na lewo.

Widocznie chciał się zoryentować.

— Nie będzie z nim biedy — szepnął Piédouche. — Ani myśli uciekać.

Nagle karetka zaprzężona w karego konia i powożona przez stangreta w futrze z peleryną oderwała się powoli z po-

śród ekwipażów, zdążających ku dworcowi i stanęła o jakie cztety metry przed bramą więzienną, zasłaniając tamtą przybyłą przed pięciu minutami, którą agenci wzięli za karetę Tolbiaca.

Nie było wątpliwości. Ostatnia była prawdziwą.

Przy świetle dwuch latarni, jasno płonących, można było rozróżnić kolor pudła, maść konia i lisiurę stangreta.

Zresztą drzwiczki otworzyły się natychmiast, z powozu wysiadł jegomość, owinięty w płaszcz szeroki, w tej chwili właśnie, gdy głuchoniemy odwrócił głowę na prawo.

Właściciel powozu skinął ręką na niego, trzymając drugą na drzwiczkach. Głuchoniemy, bez wahania, zbliżył się do człowieka, który zapraszał go do powozu.

— Idzie, jak po maśle — rzekł po cichu Piédouche. — Ten osieł wpada w pułapkę. Czy też usiądzie... Ot, już i siedzi w karecie.

Istotnie, głuchoniemy podszedł do jegomości w obszernym płaszczu i bez wahania wsiadł do karety, jegomość wskoczył za nim i drzwiczki zatrzasnął

— Okazuje się, że pomysł Tolbiaca był niezły — szepnął Piéduche. — Nie sądziłem, że głuchoniemy da się wziąć na taki kawał.

Swoją drogą — wycedził przez zęby — Tolbiac spóźnił się i mógł siebie i nas zgubić... bo gdybyśmy tak byli wzięli jego powóz za tamten...

Stangret zaciął konie. Karetka pomknęła jak strzała i otarłszy się niemal o dwóch agentów, przez bulwar Mazas pędziła w stronę placu Tronowego.

— Skończyła się już nasza pańszczyzna! — zawołał Pigache. — Teraz jedźmy do naczelnika, a że nam pozwolił wziąć dryndę na koszt zarządu, więc nie będziemy darli butów.

— Milcz — szepnął Piédouche, chwytając go za rękaw.

— Tam do licha! Cóż to nowego — mruknął nr. 33.

Po odjeździe karetki z głuchoniemym, ukazała się tamta. Zdążała powoli do bramy. Przez uchylone okno było widać głowę, bardzo podobną do głowy p. Tolbiaca de Tinchebray.

Piédouche oczom własnym nie wierzył, lecz kary koń stanął.

Z karetki wysiadł jakiś pan i rozejrzał się dokoła, przypatrywał się zwłaszcza bramie więziennej.

Po ubraniu, po ruchach, a zwłaszcza po sposobie przyglądania się wszystkiemu, dwaj agenci poznali *detektywa*, któremu byli przydani do pomocy i zdumienie ich nie miało granic.

Pigache nie zdawał sobie jeszcze dokładnie sprawy z położenia, ale Piédouche sprytniejszy, zaczynał podejrzewać, że okropnego bąka strzelili. Chcąc wyświetlić sprawę podszedł wprost do jegomościa, który wysiadł z karety.

Był to istotnie Tolbiac. Zwrócił się ostro do agentów:

— Zabroniłem wam opuszczać stanowisko. Wracajcie na miejsce — rzekł.

Już ósma wybiła. Głuchoniemy wyjdzie zaraz. Nie powinien was widzieć ze mną. Dalej na miejsca. Co się gapicie?

— Głuchoniemy! — szepnął Piédouche. — Wszak on już odjechał...

— Jakto odjechał? Czyś oszalał?

— Nie, widziałem na własne oczy, jak wsiadł do powozu, który popędził w stronę bulwaru.

— I puściłeś go nędzniku — krzyknął p. Tolbiac, chwytając agenta za kołnierz i potrząsając nim gwałtownie.

— Proszę mnie puścić — zawołał Piédouche, wcale nie strapiony.

— Nie puszczę cię, dopóki mi nie wytłómaczysz swojego postąpienia, łotrze jeden.

— O! bez wymyślań — odciął się numer 29, wyrywając się z rąk Tolbiaca.

Tego już za wiele. Jeśli głuchoniemy umknął, to z pańskiej winy, nie z mojej.

— Jak śmiesz tak mówić?

— Powiadam, że z temi pańskiemi wymysłami, to się tylko sprawa plącze. Gdyby pan kazał stanąć przy bramie, to tamten powóz nię byłby panu zmiótł głuchoniemego z przed nosa...

— Ale ty widziałeś moją karetkę... poznałeś ją...

— Niezupełnie. Naprzód latarnie paliły się bardzo niejasno, powtóre stangret nie miał futrzanego kołnierza... prawda, że już go włożył, ale go nie miał, przyjeżdżając.

— Kłamiesz.

— Nie kłamię, a nie mogłem się domyślać, że kareta zupełnie podobna do pańskiej, sprzątnie panu zdobycz z pod nosa i to w chwili, gdy zegar wybijał ósmą.

— Uprzedziłem cię, że przyjadę o pięć minut przed ósmą i przyjachałem.

— Istotnie, ale choćbym chciał przeszkodzić głuchoniememu wsiąść do tamtej karetki, nie mógłbym, bo mi niewolno było ruszyć się z miejsca.

— Wiedziałeś, że miałem wysiąść i skinąć ręką na głuchoniemego...

— Jakiś pan tego samego wzrostu, tak samo ubrany, wykonał te ruchy. Mój towarzysz widział to, również dobrze jak i ja. Dziwne to bardzo, ale tak było.

— Takie to dziwne — rzekł ostro p. Tolbiac, — że wytłómaczyć sobie tego nie potrafię.

— Czego pan nie rozumie?

— O! nie udawaj głupiego... Wiesz o co mi chodzi. Dostałeś pieniądze, żeby głuchoniemego puścić na wolność.

— To dopiero posądzenie!

— Ile ci dał ojciec Lecoq za tę sztuczkę?

— Ojciec Lecoq? Ja go nie widziałem od rana.

— Trzeba to będzie dowieść. Jestem pewny, żeście się porozumieli i oświadczam, że to wykryję. Tymczasem czekają na nas przy ulicy Mont-Thabor. Pojedziecie tam ze mną obaj. Zobaczymy, co powie naczelnik.

— Tak, zobaczymy. — zawołał Piédouche. — Jeżeli jest w tem jakie łajdactwo, to dopuściłeś go się pan, albo ja. Jeden z nas dwóch, a który, to pan naczelnik wyjaśni.

Zawołał na przejeżdżającą dorożkę i rzekł do Tolbiaca:

— Wsiadam w dryndę z Pigache'm. Jeżeli się pan boisz, żebym nie umknął, to jedź za nami. Ale niema obawy, nie drapnę po drodze, bo i mnie pilno wyświetlić tę sprawę.

Detektyw rad nie rad musiał się zgodzić na tę propozycyę.

— Dobrze — zawołał. — Pojadę za wami, a że mój koń lepszy od dorożkarskiego, więc się nie obawiam, że umkniesz. Uprzedzam jednak, że poradzę twemu zwierzchnikowi, żeby cię wpakował do więzienia, jako wspólnika podsądnego.

— Zobaczymy — odparł Piédouche, wzruszając ramionami. — Ale prawda, jeżeli pański koń biegnie tak szybko, to czemu pan nie kazał stangretowi pogonić za karetką, która uniosła głuchoniemego? Przecież ja panu w tem nie przeszkodziłem. Bądź pan pewny, że powiem to naczelnikowi.

Wskoczył do dorożki, towarzysz za nim. P. Tolbiac wsiadł do karetki.

— Ładnieśmy się ubrali — rzekł Pigache.

— Nic sobie z tego nie robię — odpowiedział — Piédouche z dobrą miną. — Sprzykrzyło mi się już słuchać tego błazna, który obiecuje tysiąc franków, a potem chce mnie wygryźć, spychając na mój kark swoje winy. Tem gorzej, jeśli naczelnik słuszności mi nie przyzna.

Pigache milczał. Oba agenci nie zamienili już ze sobą ani słowa, aż do chwili, gdy dorożka stanęła przy ulicy Mont-Thabor. Karetka zatrzymała się za nią.

Ojciec Lecoq nie mógł się już doczekać godziny, wyznaczonej mu przez szefa policyi i wyszedł przed dom, w którym miały się roztrzygnąć losy jego syna.

Szef policyi nie uznał za stosowne wystąpić w zwykłym charakterze urzędowym.

Przyjechał powozem wynajętym z sędzią śledczym i podsądnym.

Agent i dwóch sierżantów, w ubraniu cywilnem, czekało na nich przed bramą.

Agent wszedł do domu z swoim zwierzchnikiem.

Dwaj sierżanci mieli stać na ulicy, gotowi na każde wezwanie.

Trzymano się ściśle programu, nakreślonego przez pana Tolbiaca.

Tylko ojciec Lecoq odstąpił od niego.

Zamiast przybyć o dziesiątej do gabinetu szefa policyi, jak było umówionem, przyszedł o ósmej i ukrył się w ciemnym węgle naprzeciw mieszkania syna.

Widział ekwipaż, który go przywiózł, widział, jak zapalano światło w antresoli, czekał niecierpliwie na przybycie głuchoniemego i chciał wyjść na spotkanie szefa policyi, gdy ten ukaże się na ulicy.

Miał nadzieję, że przyjaciel uwzględni jego niepokój, przebaczy mu także pominięcie dyscypliny i doniesie mu o rezultacie próby.

Spodziewał się nawet, że oddadzą mu zaraz syna, przekonawszy się w sposób niezbity o jego niewinności.

To też serce zabiło mu żywiej, gdy karetka p. Tolbiaca stanęła pod numerem 27, za remizą, stojącą opodal.

Nie była to chwila odpowiednia, żeby się naprzód wysuwać i staruszek patrzał zdaleka, jak wysiadali dwaj agenci i *detektyw*.

Słyszał, jak się zamykała brama i sądził, że głuchoniemy wszedł razem z nimi, bo nie mógł dojrzeć wyraźnie wchodzących.

Dorożka i karetka stanęły trochę dalej przy chodniku, obok powozu, którym przyjechał Ludwik z naczelnikiem i sędzią śledczym.

Pan Lecoq podniósł oczy ku oknom apartamentu swojego syna, niebawem ujrzał cienie przesuwające się za firankami i odtwarzał sobie w myśli całą scenę konfrontacyi.

— Pozostawili go w salonie — myślał, spoglądając w okno środkowe. — Sami przeszli do pokoju sypialnego i mają go na oku... Tolbiac w tej chwili wszedł do gabinetu... Dostrzegam ich cienie... wepchną głuchoniemego do salonu... byle ten biedak nie zrobił jakiego znaku, któryby można rozumieć opacznie... Gdy pomyślę, że życie mojego syna zależy od skinienia, od gry fizyognomii, to mnie ciarki przechodzą...

I przeklinał Tolbiaca za jego pomysł próby, tak niebezpiecznej.

— To dziwne — myślał. Został w gabinecie... a tamci z pokoju sypialnego, przechodą do saloniku... Widocznie rozmawiają... Nie taki był przecie program tej sceny... Cóż się więc stało...

W gabinecie światło mniej jasne. Zamknęli widocznie drzwi od salonu... Zapalili wpierw wszystkie światła, żeby módz lepiej śledzić wrażenie, jakie widok Ludwika zrobi na głuchoniemym... a jednak im nie pilno.

Zostawili Ludwika samego... to dobry znak... Gdyby go uważali za winowajcę, to mieliby go wciąż na oku.

Pan Lecoq uspokojony tem spostrzeżeniem, powiódł ręką po czole spoconem, mimo mrozu.

— Mój Boże! szepnął nagle — to on zbliża się do okna... uchyla firanki... spogląda na ulicę... nie przypuszcza, że ojciec patrzy na niego... O czem też myśli? O mnie... o narzeczonej... Bóg mi go zwróci... Jutro, pojutrze najdalej będę mógł go ucałować... zaprowadzić go do tej, która czeka na niego wśród większej trwogi odemnie, bo nie wie, co się dzieje, a ja wiem, jestem pewny, że go uniewinnią, skoro tylko głuchoniemy...

Czemu oni tak zwlekają — myślał starzec, tknięty złem przeczuciem.

Miało się ono sprawdzić niebawem.

Ludwik odszedł od okna. W pokoju przyległym, w tym, gdzie odbywały się narady, pogaszono światła.

Po chwili otworzyła się brama, wszedł jakiś człowiek i coś szepnął sierżantom, jeden z nich zawołał powóz, którym przywieziono podsądnego.

Skoro tylko powóz zajechał przed dom, p. Lecoq usłyszał, że otwierają drzwiczki i po skrzypieniu osi poznał, że wsiada kilka osób.

Wszystkie te manewry były wykonane bardzo szybko. Zanim staruszek zdążył przejść przez ulicę, powóz, olbrzymie lando, na sześć osób, potoczył się w stronę prefektury.

Pan Lecoq nie widział już ani sierżantów, ani człowieka, który z nimi rozmawiał. Po chwili zgasło światło w oknach apartamentu.

Widocznie próba została ukończona.

Niebawem na ulicę wyszły trzy osoby; p. Lecoq poznał w nich odrazu: szefa policyi, sędziego śledczego i p. Tolbiaca.

Po krótkiej rozmowie, rozstali się: sędzia wsiadł do dorożki, którą przyjechali Piédouche z Pigache'm, Tolbiac — do swojej karetki.

Oba wehikuły ruszyły. Szef policyi pozostał sam i podążył w stronę ulicy Castiglione.

Sposobność była wyborna.

Pan Lecoq nie czekał dłużej. Podbiegł, pytając skwapliwie:

— I cóż?

— To pan? — odrzekł chłodno szef policyi. — Zkądże się pan tu wziąłeś?

— Brakło mi cierpliwości czekać na pański powrót w prefekturze... Pan to chyba zrozumie... Gdzież mój syn?... Co się stało?

— Nie domyślasz się pan?

— Nie — szepnął starzec, zdziwiony ostrym drwiącym niemal tonem przyjaciela. — Widziałem, jak zajechał Tolbiac... jak wysiadali agenci... głuchoniemy... ale...

— Nie mogłeś pan widzieć głuchoniemego, bo go nie było... Uciekł... właście został wykradziony...

— Wykradziony?... Któż go wykradł?

— Byłbym panu wdzięczny, gdybyś mi pan to wyjaśnił. Co do mnie, przypuszczam, że agent Piédouche nie stawił oporu temu porwaniu.

— On!... To niepodobna... Ja go znam... Ten człowiek nie zdolny uchybić swojemu obowiązkowi...

— Stwierdzimy to niebawem, bo go posłałem do więzienia wraz z jego towarzyszem, Pigache'm. Pozostaną pod kluczem, póki nie zdołają wytłómaczyć swego postępku.

— A mój syn? — pytał p. Lecoq cały drżący.

— Radzę panu zapomnieć, że jesteś jego ojcem, bo go już nigdy nie ujrzysz. A powiem panu otwarcie i pan będziesz musiał zdać rachunek ze swoich kroków.

— Co to znaczy? Ja nic nie rozumiem.

— A jednak to bardzo proste. Konfrontacya z głuchoniemym byłaby skompromitowała pańskiego syna — wyszło to teraz na jaw, bośmy odkryli nowy dowód, świadczący przeciw niemu.

— Jaki?

— Pozwól pan, że ci nie będę zdradzał tajemnic śledztwa. Powiem tylko to: jesteśmy już pewni, że pański syn zamordował mężczyznę i kobietę przy ulicy Arbaléte. Głuchoniemy byłby go poznał, więc głuchoniemy zniknął. A komu chodziło najbardziej o to zniknięcie? Panu.

— Mnie? — zawołał ojciec Lecoq z oburzeniem. — Mnie, który pokładałem całą nadzieję w tem spotkaniu, będąc pewnym, że dowiedzie ono niewinności mojego syna? Ale zapominasz, że ja pierwszy prosiłem, by go stawiono wobec głuchoniemego!

— Wiedziałeś pan zapewne, że wnosząc taką prośbę, nic nie ryzykujesz. Gdy się jest bogatym i sprytnym, jak pan, gdy się ma, tak jak pan agentów, oddanych sobie ciałem i duszą, łatwo urządzić wykradzenie.

— A więc pan mnie oskarżasz? — zawołał nieszczęśliwy ojciec z rozpaczą. — Potępiasz mojego syna?

— Ani pana nie oskarżam, ani nikogo nie potępiam. Ale jest obowiązkiem moim być nieubłaganym dla przestępców i dla tych, którzy tamują wymiar sprawiedliwości.

Nic panu więcej nie powiem. Byłem pańskim przyjacielem i ta przyjaźń kosztuje mnie drogo. Stosunki nasze zerwane. Żegnam.

Po tych ostrych słowach, szef policyi odszedł krokiem przyśpieszonym.

P. Lecoq nie próbował go zatrzymać, nie próbował się tłómaczyć, ani usprawiedliwiać.

Cóż go to obchodziło, że był pod jakimś zarzutem? Jedynym jego celem było dowieść niewinności syna, a miał jeszcze nadzieję, że tego dokaże.

ROZDZIAŁ XI.

W tydzień po smutnym wieczorze, który zniweczył wszystkie nadzieje Teresy, ojciec Lecoq siedział na ławce w ogrodzie Tuileryjskim, a nieliczni przechodnie, mijający wielką aleję, dziwili się widząc tego staruszka, smaganego mrozem i wiatrem.

Śnieg prószył mu kołnierz, on nie czuł tego, nie widział. Wróble, przyzwyczajone jadać mu z ręki, zlatywały się tłumnie. Świerkały, pytając go jakby: „Co się stało naszemu przyjacielowi? Dlaczego o nas zapomina?“

Niestety, p. Lecoq zapomniał o wszystkiem, oprócz o swoim synu. Miał go wciąż przed oczyma.

I oto teraz myślał, że Ludwik stoi może przed sędzią śledczym, który go oplątuje siecią zręcznych pytań.

— Zamknęli przedemną drzwi więzienne — medytował staruszek. — Prefekt ma na mnie uwagę zwróconą. Gdyby nie szef policyi, siedziałbym pod kluczem. Przecież uwięzili Piédouche'a.

I wyobrażają sobie, że zapłaciłem Bóg wie ile za wykradzenie głuchoniemego! To tak, jak gdyby mnie oskarżali, że chcę zamordować syna.

A gdybym chciał prowadzić śledztwo na własną rękę, gdybym zbierał poszlaki, świadectwa, zamiast pomódz, zaszkodziłbym mu tylko.

Wiem, że mnie szpiegują. Niedalej, jak wczoraj spostrzegłem, jak jeden z moich dawnych agentów szedł za mną.

A co się dzieje ze sprawą, nikt nie wie. Procedura tajna. Dziennikom nie wolno wspominać o zbrodni przy ul. Arbaléte.

Doniosły, że morderca został aresztowany... że jest to młodzieniec bogaty, który przybierał nazwisko szlacheckie, a zowie się poprostu Lecoq... Teraz pomieszczają tylko krótkie wzmianki, dowodzą, że policya wykrywa coraz nowe poszlaki... a publiczność cieszy się... oczekuje sądu. Już proszą o karty wstępu...

Starzec spuścił głowę i szepnął:

— Wiem, że go osądzą na śmierć i... nic na to poradzić nie mogę. To okropne!

— Dzień dobry, panie Lecoq — odezwał się nagle jakiś głos zachrypły.

Ojciec Ludwika drgnął i ujrzał przed sobą Piédouche'a. Wyglądał on na człowieka, wychodzącego z więzienia, a jego garderoba świadczyła o bardzo złym stanie funduszów.

— Tak panie naczelniku, to ja — rzekł, widząc, że p. Lecoq zaledwie może go poznać. — Mogę pana nazywać naczelnikiem, bo służyłem pod panem... Zresztą nie mam już na świecie nikogo, oprócz pana, bo mnie wypędzono z policyi... Przesiedziałem tydzień w więzieniu... Badali mnie po dwa razy na dzień.

Wreszcie, jak zobaczyli, że nic ze mnie nie wydobędą, wyrzucili mnie za drzwi... wczoraj rano... Miałem w kieszeni kawał chleba i 11 soldów... chleb dałem moim dzieciakom, a pieniądze poszły do piekarza, który żywił ten drobiazg, podczas gdy ja siedziałem w ulu.

Potem poszedłem do prefektury, żeby mi oddali resztę należności. Ale gdzie tam... potrącili mi za ten miesiąc... za to, żem służbę zaniedbał... Cóż było robić zastawiłem surdut i dlatego widzi mnie pan w bluzie.

P. Lecoq słuchał w milczeniu tych słów trochę bezładnych, i wpatrywał się w Piédouche'a, chcąc zajrzeć do głębi jego myśli.

— Pan się na mnie gniewa — rzekł były numer 29 głosem wzruszonym — pan się gniewa, że aresztowałem pańskiego syna. O! gdyby to było do odrobienia... Gdybym przynajmniej był wiedział, że to pański syn.

— Nie mam powodu mieć ci tego za złe — szepnął p. Lecoq.

— Doprawdy? Pan mi przebacza. No to już jestem pocieszony, bo najbardziej dręczyła mnie myśl, że zrobiłem panu mimowoli taką boleść. Nie zdołam już tego naprawić, co się stało przez moją głupotę.

— Może zdołasz.

— O! gdybym ja w to mógł uwierzyć. Ot, lepiej powiem panu, jak było. Pan naczelnik wie, że ja się zapalam i tracę trzeźwość sądu. Byłbym dał głowę, że p. Ludwik jest winien, że to on jest mordercą. Teraz gotów jestem przysiądz, że jest niewinny, jak baranek.

— Czy mi pomożesz dowieść tego?

— Ale jabym oddał duszę, żeby módz panu dopomódz. Tylko, szef policyi, wypuszczając mnie powiedział, że jak się będę mieszał do tej sprawy, to mnie wpakuje do więzienia bez sądu. Tak, że nie wiem, w czem mógłbym być panu pomocnym.

— Mogę cię użyć, nie narażając cię wcale. Odpowiadaj naprzód na to, o co się zapytam. Czy wiesz, jak stoi sprawa mojego syna?

— Pigache szepnął mi wczoraj kilka słów w podwórzu więziennem... On szczęśliwszy odemnie, ten Pigache.... nie dali mu dymisyi... tylko mu potrącili pensyę za dwa tygodnie, został jednak moim przyjacielem... Otóż powiedział mi, że wykryto mnóztwo dowodów...

— Cóż to za dowody?

— Panie naczelniku boję się pana zmartwić.

— No, mów. Jestem przygotowany na najgorsze — rzekł staruszek.

— Podobno w apartamencie p. Ludwika znaleźli laskę z gałką ołowianą, na której były ślady krwi... Przypuszczają, że ta laska służyła do zabicia starego kupca... A mówią jeszcze o jakimś liście z pogróżkami... adresowanym do kobiety.

Z tem wszystkiem szukają głuchoniemego, i ani rusz, znaleźć go nie mogą. Pisali do wszystkich prefektur francuzkich.

Ale powiadają, że się bez niego obejdą, bo i tak dowodów dosyć, wystarczy ich, żeby p. Ludwika dziesięć razy posłać na gilotynę.

Oni chcą, żeby ta sprawa poszła przed sąd przysięgłych za dwa miesiące.

— Za dwa miesiące — powtórzył p. Lecoq. Czasu mamy dosyć. Ale powiedz że mi, wszak byłeś w chwili, gdy wykradli głuchoniemego, więc wiesz najlepiej, że ja nie maczałem palców w to porwanie. Czy kogo podejrzywasz?

— Niezupełnie. Jednak dało mi do myślenia, że Tolbiac pozwolił się tak podejść. A gdyby naczelnik chciał mnie słuchać, toby nie zwracano uwagi na pana, lecz na kogo innego zupełnie... Ale on wierzy ślepo tej kanalii. Zamiast pracować dla prefektury, od rana do wieczora wygrzebuje sukcesorów. Bo to proszę pana... Wieczorem przed wykradzeniem, jakiś człowiek, z którym wypiłem kilka kieliszków, opowiadał mi zabawną o nim historyę...

— Piédouche — przerwał mu p. Lecoq — obiecałem, że cię wezmę na swoje usługi... Czy oddasz mi się bez zastrzeżeń? Czy chcesz poświęcić się ciałem i duszą celowi, do którego dążę.

— Gotów jestem na wszystko... zwłaszcza jak będę miał zapewniony chleb dla moich malców.

— Podejmuję się umieścić ich u poczciwej kobiety, która się niemi zajmie tak, jak gdyby była ich matką.

— O! w takim razie możesz pan mną rozporządzać wedle woli. Jeżeliby prefektura miała ochotę czepiać się do mnie, to mnie Pigache ostrzeże. Ale ja się tam nie boję. Wszak jestem takim samym obywatelem jak każdy inny. Nikt nie ma prawa wchodzić mi w drogę, kiedy nikomu nie szkodzę.

— Mniejsza o prefekturę. Będziemy musieli wyjechać.

— Czy na długo?

— Nie wiem.

— Dokąd pojedziemy?

— Mówiłeś mi pan przed chwilą, że gotów jesteś mi służyć. A więc żądam ślepego posłuszeństwa.

— Dobrze, panie naczelniku. To mi się tylko tak wymówiło. Nie będę już ciekawy na przyszłość... a pojadę z panem, bodaj do Chin, jeżeli pan tego zażąda.

— Słuchaj — rzekł p. Lecoq, wstając z ławki, na której Piédouche zajął był miejsce obok niego. — Jeszcze nie wiem, co zrobię, pojadę może do Anglii, może do Niemiec, będę szukał wszędzie dowodów, obalających to potworne oskarżenie. Może ukryję się w Paryżu i będę walczył zawzięcie o głowę mojego syna. To jedno wiem, że on jest niewinny i że go wyrwę z rąk policyi.

A teraz musimy się rozstać. Nie trzeba, żeby nas widziano razem. Przyjdź do mnie dziś o dziesiątej wieczorem. Powiem ci czego się po tobie spodziewam.

Wódz i żołnierz rozeszli się, ale od tej chwili kampania się rozpoczęła.

ROZDZIAŁ XII.

Upłynęły trzy miesiące.

Trzy miesiące w Paryżu to wiek cały. W trzy miesiące o wszystkiem się zapomina, o rewolucyach nawet.

Sprawa z ulicy Arbaléte, którą tak bardzo zajmowano się w styczniu, na wiosnę należała już do przeszłości. Jedna zbrodnia spycha drugą, a w Paryżu nie brak morderców. Nie siedzieli oni z założonemi rękoma przez ową zimę i amatorowie silnych wzruszeń napawali się niemi do syta.

Dzienniki były przepełnione sensacyjnemi opisami zbrodni wszelakich. Nie wykryły ciekawszej od tajemnicy „damy pikowej“, ale przestały się nią zajmować, bo trudno przez cały kwartał rozwodzić się nad tragiczną śmiercią pięknej kobiety i starego kupca. Zresztą panie Lecomte, pomimo swej fortuny, żyjąc na oboczu były mało znane, a oprócz szczupłego grona dawnych przyjaciół o wypróbowanej dyskrecyi, nikt nie wiedział, że morderca jest synem słynnego p. Lecoq.

Tylko w prefekturze policyi niepokojono się nagłem zniknięciem starego policyanta. Naczelnik nie pojmował, jak ojciec mógł opuścić syna w tak ważnej chwili.

P. Tolbiac tłómaczył to na swój sposób. Twierdził, że p. Lecoq podążył za głuchoniemym i że ten odjazd świadczy najlepiej o winie podsądnego.

To zdanie znalazło wiarę w prefekturze. Najzręczniejsi jej agenci szukali tropu staruszka, ale daremnie.

Pani Lecomte, zapytywana, co się stało z niedoszłym teściem swej córki, odpowiadała, że nic o nim nie wie.

Tymczasem śledztwo postępowało zwyczajnym trybem. P. Tolbiac zdołał zebrać wiązankę dowodów, które miały zastąpić świadectwo głuchoniemego.

Pewnego kwietniowego poranku dowiedziano się, że zabójca „damy pikowej“ ma być sądzony w drugiej połowie tego miesiąca.

Najfantastyczniejsze legendy poczęły krążyć o Ludwiku Lecoq, zwanym de Gentilly. Nie było we Francyi jednej kobiety, któraby nie pragnęła być obecną przy agonji sądowej tego poetycznego mordercy.

W Anglii znalazły się nawet trzy damy, które zapragnęły posiąść jego rękę i napisały do niego listy z oświadczynami.

Teresa i jej matka nie potrzebowały starać się o bilety wstępu na salę. Zostały wezwane dla oświadczenia, że podsądny wyszedł już był od nich w chwili, gdy zbrodnia została spełniona.

A zatem ostatniego dnia kwietniowego na salę sądową tłoczyła się publiczność wyborowa, ta, która zwykła uczęszczać na *premiery* widowisk teatralnych.

Zbiegł się Paryż klubów, wyścigów, salonów; nie brakło też przedstawicielek buduarów, ani osobistości politycznych, ani członków akademii.

Ma się rozumieć armia reporterów stawiła się w pełnym komplecie, zasilona kilku redaktorami poczytnych dzienników, licznymi komedjo- i powieściopisarzami, poszukującymi tu wrażeń i tematów.

Najpiękniejsze aktorki przeprowadziły całą intrygę, dla zdobycia malutkiego kącika na sali. Za fotelami sędziów siedzieli dostojni cudzoziemcy, a wśród nich ogólną uwagę zwracał nabob indyjski, starzec wspaniały, we wschodnich szatach i zawojach.

Ów egzotyczny magnat nosił brodę białą, zakrywającą mu większą połowę twarzy ogorzałej. O kilka kroków za nim stał hebanowy służący, zwracając spojrzenia gapiów.

Wreszcie otworzyły się drzwi naprzeciw miejsc, przeznaczonych dla przysięgłych — po sali przebiegł dreszcz.

Dwóch sierżantów wprowadziło Ludwika Lecoq. Usiadł na ławie oskarżonych, nie patrząc na tłum, tak żądny jego widoku.

Był ubrany czarno, pomimo bladości, wyglądał spokojnie. Nachylił się, szepnął kilka słów na ucho swemu obrońcy, słynnemu adwokatowi, potem zapadł w zupełną nieruchomość.

Piękne panie, które spodziewały się dojrzeć ślady wzruszeń na jego twarzy, doznały zawodu.

P. Lecoq nie domyślał się jakby, że jest przedmiotem ogólnej ciekawości. Miał taką minę, jak człowiek dobrze wychowany, czekający na gospodynię domu w jej salonie.

To zachowanie się swobodne, duma i obojętność jego twarzy nie zyskały mu życzliwości.

Publiczność,przybywająca na procesy kryminalne lubuje się rozpaczą podsądnego i ma za złe takiemu, który jej nie dostarcza podobnych wzruszeń. To też gotowa brać zimną krew za bezczelność, a rezygnacyę za obojętność.

Znajdowano, że ten piękny chłopiec nie dość jest upokorzonym, przybitym, pożądano jego łez.

Gdyby jednak ci, którzy mu zarzucali, że jest chłodnym, mogli byli czytać w jego duszy, zdjęłaby ich litość większa, niż na widok łez i rozpaczy.

Nieszczęśliwy przechodził w tej chwili katusze, a czynił wysiłki nieludzkie, aby ukryć swe udręczenia.

Nie obawiał się gilotyny, lecz hańby, a przedewszystkiem obawiał się potępienia Teresy. Wiedział, że została wezwana, że go ujrzy na ławie podsądnych, że będzie słyszał pytania drażliwe, a tak bolesne dla jego narzeczonej.

Kochał ją zawsze z jednakim zapałem, siła uczucia wzmogła się nawet w samotności, wśród murów więziennych.

Ludwik wolałby stokroć umrzeć, niż stawać przed jej sądem.

Od trzech miesięcy żył w zupełnem odosobnieniu. Dopiero na tydzień przed procesem, zaczął go odwiedzać sędzia śledczy. Uznał on za stosowne donieść mu, że głuchoniemy został wykradziony i że stary Lecoq zniknął bez śladu.

Ludwik pytał o pannę Lecomte, prosił, by mu wolno było do niej pisać — odpowiedziano mu, że to niemożliwe, gdyż jest powołaną na świadka.

Nieszczęśliwy przygotowany był na wszystko najgorsze, ale postanowił walczyć do końca i nieuznać się pobitym, choćby nawet usłyszał na siebie wyrok śmierci.

Przybywał więc na salę z odwagą żołnierza, który idzie do szturmu, wiedząc, że w nim życie położy.

Ta właśnie duma, wiejąca z oblicza, raziła obecnych. Kobiety były jednak przychylniej usposobione dla tego pięknego, bladego młodzieńca.

W oczekiwaniu na sędziów publiczność przyglądała się podsądnemu i dowodom jego winy, złożonym na stole.

Obok trzciny z gałką stalową, którą, wedle treści oskarzenia, został zabity p. Lheureuse, leżały gliniane odciski stóp mordercy na śniegu, dalej sztylet z kościaną rękojęścią i dama pikowa, wbita w serce ofiary; stolik z rozłożonym pasjansem, który znaleziono w mieszkaniu Ludwika, peniuar koronkowy krwią zbroczony, różowe pantofelki i zwiędła kamelja.

Najwięcej jednak uwagi zwracała podobizna woskowa nieszczęśliwej kobiety. Biust był niesłychanie podobny i czynił wrażenie przejmujące.

Spodziewano się, że posłuży do wykrycia tożsamości zmarłej, której dotychczas nikt nie poznał.

Ciekawość mogła sprowadzić na salę cudzoziemca Anglika, a że ofiara była niewątpliwie Angielką, więc liczono na traf szczęśliwy. Niebawem podniosła się kurtyna owego tragicznego widowiska: wszedł sąd.

Sala pełna szeptów i szmerów uciszyła się odrazu. Milczenie zaległo.

Przewodniczący zwrócił się do podsądnego, który wstał z głową podniesioną.

— Jak się pan nazywasz? — zapytał.

— Ludwik Albert Lecoq.

— Przybierałeś pan inne nazwisko, do którego nie masz prawa.

— Było to nazwisko, pod którem mój ojciec był znany.

— Ile pan masz lat?

— Dwadzieścia ośm.

— Gdzie się urodziłeś?

— W Paryżu.

— Czem się pan trudnisz?

— Pracuję w kancelaryi regenta.

— Jesteś pan oskarżony, że w styczniu roku zeszłego popełniłeś podwójne morderstwo. Siadaj pan i wysłuchaj aktu oskarżenia.

Sekretarz głosem dobitnym odczytał straszne zarzuty, ciążące na narzeczonym Teresy.

„W nocy z 13-go na 14-ty stycznia r. b. około trzeciej, dwóch sierżantów, na rogu ulicy Corvisart i Champ de l'Aloette aresztowało człowieka, niosącego na plecach olbrzymią skrzynię.

Podejrzewając, że ją ukradł, zaprowadzili go do najbliższego cyrkułu policyjnego, i nie zwracali uwagi na drugie indywiduum, idące o kilka kroków naprzód, a które oddaliło się w stronę bulwaru de l' Italie.

Z rozkazu brygadyera otworzono skrzynię. Leżał w niej trup kobiety pięknej i młodej, ugodzonej sztyletem w samo serce.

Broń pozostała w ranie. Sztylet osadzony był na karcie. Badany natychmiast człowiek ze skrzynią, pokazał na migi, że jest głuchoniemym; stwierdzono, że to prawda.

Trudno po nim spodziewać się było wyjaśnienia, tembardziej, że wedle wszelkich poszlak odegrał w tem rolę bierną i mógł być tylko narzędziem mordercy.

Nazajutrz, skutkiem energicznych poszukiwań szefa policyi tajnej, wykryto, że zbrodnia została spełniona przy ul. Arbaléte, w domu, w którym przez trzy miesiące mieszkała zamordowana kobieta.

Zdołano nawet wyśledzić, w którym pokoju śmierć poniosła. Tożsamość osoby jeszcze nie stwierdzona, wiadomo tylko, że ofiara była Angielką.

W pokoju przyległym do sali jadalnej znaleziono zwłoki niejakiego Lheureuse, kupca; został zabity czemś okrągłem.

Sprawcą tych obu zbrodni musiała być jedna osoba, która pragnęła odrazu pozbyć się obu swych ofiar.

Pobudką zbrodni nie była kradzież, albowiem wszystkie przedmioty cenne pozostały. Nie było też śladów włamania, co świadczy, że oskarżony znał dobrze lokatorkę i że mu drzwi otworzono.

Wedle wszelkich poszlak lokatorka pozostawała z owym kupcem w stosunkach blizkich, ukrywanych starannie przez oboje, a to dlatego, że Lheureuse był żonatym i ojcem rodziny, a dama miała innego kochanka.

Ów kochanek, zastawszy ją przy kolacyi ze swoim rywalem, zemścił się, zabijając oboje.

Początkowo przypuszczano, że p. Lheureuse sostał zabity prze ową Angielkę i jej kochanka, którą ten ostatni zamordował.

Ale kupiec miał przy sobie znaczne pieniądze — znaleziono je nietknięte.

Prawdopodobnie więc pobudką tych zbrodni była tylko zazdrość i chęć zemsty.

Bądź co bądź, jasnem jest, że nie mógł ich spełnić nikt inny tylko podsądny.

Ludwik Lecoq jest synem człowieka, który się wzbogacił w zawodzie, jakkolwiek nie sromotnym, lecz ukrywanym starannie, pobierał nauki w Anglii, gdzie spędził lat kilka, potem w Niemczech i wreszcie we Francyi, gdzie złożył egzamin na doktora praw.

Obrał sobie zawód notaryusza i miał właśnie nabyć kancelaryę i poślubić młodą osobę, należącą do rodziny powszechnie szanowanej, gdy dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, wpadł w ręce policyi.

Dowody jego winy są liczne i niezbite.

Znaleziono u niego fotografię kobiety zamordowanej wyobrażającą ją w chwili, gdy kładzie pasjans. Ten portret odbity w jednym tylko egzemplarzu u paryskiego fotografa zaopatrzony jest dedykacyą własnoręczną ofiary.

Piękna kobieta ofiarowała Ludwikowi tę fotografię, aby mu przypomnieć scenę miłosną, w której pasjans grał jakąś rolę.

Taki sam pasjans znaleziono w ukrytym gabineciku w apartamencie podsądnego. Karty były ułożone na stoliku w takim porządku, jak na fotografii, brakło tylko jednej owej damy pikowej.

Podsądny starał się to objaśnić dowodzeniami, których fałsz już stwierdzono. Oprócz tych dowodów, znalazły się inne, niezbite.

Wiadomo, że w nocy z 14-go na 15-ty, nazajutrz po zbrodni, wchodził do pawilonu przy ul. Arbalette.

Nie aresztowano go, bo zdołał umknąć agentom, strzegącym domu. Następnie ci agenci poznali go, nie z twarzy, którą wówczas ukrywał, lecz po pewnych szczegółach ubrania.

Umknął zaś, dzięki temu, że przedstawił kartę agenta policyjnego, a z jego własnych zeznań wynika, że wziął tę kartę od samego ojca, p. Lecoq, byłego członka policyi tajnej.

Dalej znaleziono u podsądnego laskę z ołowianą gałką, na której były ślady krwi. Tą laską uderzył widocznie p. Lheureuse i zabił go na miejscu.

Przy ulicy Arbalete znaleziono kopertę listu z wypisanym nazwiskiem ofiary: Marya Fassitt, stempel biura pocztowego na placu Theatre-Francais. Adres wypisany ręką podsądnego, który pracował w kancelaryi przy ulicy de Rivoli, a więc blisko tego biura pocztowego.

Wreszcie podsądny nie umiał wytłómaczyć, co robił przez dwie noce z 13 go na 14-ty i z 14-go na 15-y stycznia. Sędziemu śledczemu nadesłano list, pisany przez Lecoqa; treść tego listu równa się przyznaniu do winy. Kto list nadesłał, niewiadomo.

Lecoq przepowiada w nim Maryi Fassitt to, co się stało przy ul. Arbalete, a przepowiada w formie pogróżki.

Wobec tych wszystkich dowodów podsądny milczy, a gdy się odzywa, to tylko ze skargą, że go nie skonfrontowano z głuchoniemym.

Konfrontacya taka nie mogła nastąpić, albowiem głuchoniemy umknął w chwili, gdy go wypuszczono z więzienia Mazas, chcąc go stawić wobec p. Lecoqa.

Nie znano jeszcze jego nazwiska, ani miejsca zamieszkania i pomimo energicznych poszukiwań, nie zdołano go odnaleźć.

Do ucieczki tej pomagał niewątpliwie ojciec Lecoq.

Ukrywa się on za granicą wraz z agentem, wypędzonym z prefektury za współudział w tem usunięciu głuchoniemego. Ta ucieczka obciąża podsądnego.

Ojciec Lecoq postanowił bowiem dowieść, że jego syn jest niewinnym. Wierzył w to początkowo, a gdy ta wiara go zawiodła, usunął niebezpiecznego świadka i sam się ukrył.

Ale sprawca zbrodni przy ulicy Arbaléte nie skorzysta z tej karygodnej pomocy swego ojca.

Sprawiedliwości powinno stać się zadość, ofiary zbrodni powinny być pomszczone jaknajprędzej.

Mordercą, który nie zawahał się godzić w bezbronnego starca i w dawną kochankę, jest Ludwik Lecoq.

Fakty zostały już przedstawione. Teraz należy poznać człowieka.

Jego tryb życia był normalny; podsądny nie dopuścił się dotychczas żadnego karygodnego czynu. Wywiązywał się sumiennie ze swoich obowiązków zawodowych, jego położenie majątkowe było dobrem, miał się ożenić bogato.

Należy nawet przypuszczać, że obawa zerwania tego małżeństwa popchnęła go do zabicia kobiety, czuł bowiem, że gdyby wykryto ów stosunek, narzeczona mogłaby mu zwrócić słowo.

Lecz jakkolwiek Lecoq nie był ani rozpustnikiem, ani marnotrawcą, wiadomo, że nie miał przyjaciół, że nigdzie nie bywał, że nie szukał przyjemności właściwych jego wiekowi, słowem, że pędził żywot samotny, niemal tajemniczy.

Wreszcie od dzieciństwa był gwałtownym i skrytym.

Człowiek takiego usposobienia mógł obmyślić i dokonać obu zbrodni, spełnionych przy ulicy Arbaléte.

Na mocy zatem tych dowodów, Lecoq (Ludwik Albert) jest oskarżony o itd. itd.“

Publiczność i sędziowie wysłuchali tego aktu oskarżenia ze skupioną uwagą. Nawet nabob nie uronił ani słówka, znał bowiem język francuzki.

Ludwik Lecoq słuchał tak obojętnie, że najwytrawniejsi bywalcy sali sądowej nie mogli wyjść z podziwu.

Możnaby przypuścić, że nie chodziło o niego.

— Zarzuty stawiane panu są poważne — rzekł przewodniczący. — Będziesz pan mógł je obalać w toku badań. Tymczasem muszę pana zapytać, czy i teraz jeszcze zaprzeczysz, żeś brał udział w zbrodniach, o które pana oskarżają.

— Zaprzeczam — odparł Ludwik Lecoq stanowczo.

— W takim razie zmuszony jestem uprzedzić pana, że wchodzisz na złą drogę. Zaraz to wytłómaczę. Akt oskarżenia powiada i zobowiązuje się to udowodnić, że jesteś sprawcą dwóch wstrętnych morderstw, ale nie wyłuszcza powodów, które pana popchnęły na tę drogę.

Jesteś pan zbyt inteligentnym, żeby nie pojmować, że odpowiedzialność pańska zwiększy się lub zmniejszy stosownie do pobudek tego krwawego czynu.

A więc naprzykład, jeżeli zabiłeś p. Lheureuse i Maryę w przystępie gniewu, to jesteś bardziej usprawiedliwionym, niż gdybyś zabił ich z premedytacyą.

— Nie usprawiedliwiam się. Jestem niewinny.

Taka odpowiedź zrobiła silne wrażenie.

— Radziłem panu zmienić system we własnym pańskim interesie — rzekł przewodniczący. — Pożałujesz pan może, żeś nie usłuchał tej rady.

A teraz wzywam pana do odpowiedzi kategorycznych na pytania, które panu postawię. Łatwo to panu przyjdzie, skoro jesteś niewinnym.

— Jak dawno powróciłeś pan do Francyi?

— Przed ośmiu laty.

— Przybyłeś pan z Niemiec?

— Tak. Z Heidelbergu. Uczęszczałem tam na uniwersytet.

— Czyś pan nie bywał także w domu pewnego doktora teologii?

— Tak. Starałem się o rękę jego córki i przyrzeczono mi ją, ale mój ojciec sprzeciwił się temu związkowi.

— Powrócimy do tego punktu za chwilę. Przed pobytem w Niemczech, bawiłeś pan w Anglii?

— Tak, przez lat kilka.

— A więc mówisz pan po angielsku?

— Wybornie.

— Jakie miałeś pan stosunki w Anglii?

— Zwykłe stosunki szesnastoletniego chłopca wychowańca pensyonatu przy większej swobodzie, niż w szkołach francuzkich. Bywałem u bogatych dzierżawców w sąsiedztwie.

— Próbowałeś pan nawet wykraść córkę jednego z tych dzierżawców.

— To prawda.

— Jak się nazywała?

— Georgina Smith.

— Istotnie. A czy nie znałeś pan w owym czasie w Londynie lub w okolicy niejakiej Maryi Fassitt?

— Nie.

— Przejdźmy dalej — ciągnął przewodniczący.

Po wybuchu wojny wstąpiłeś pan do pułku piechoty i odbyłeś kampanią.

Potem studyowałeś prawo, otrzymałeś stopień doktorski i wszedłeś do kancelaryi adwokackiej, którą zamierzałeś kupić. Fortuna ojca pozwalała ci na to.

Wreszcie miałeś pan poślubić pannę, należącą do rodziny szanowanej.

Ludwik Lecoq skinął głową, lecz nic nie odrzekł, pięknym paniom wydawało się, że blednie.

(Ciąg dalszy nastąpi.

Zbieg wojskowy.

Młodą głowę wsparł na dłonie,
I zadumał się głęboko,
Łzą zabiegło czarne oko,
W oddaleniu lampa płonie.

W ręku trzyma list od matki —
Papier biały, zapisany,
A nie jedną łzą oblany,
Widzi wioskę, ojców chatkę.

Opuszczona, biedna chatka:
Piec zwalony, stołków para,
W kącie siedzi blada mara,
Wielki Boże! moja matka!

Jej dopomódz nie ma komu,
Jedynaka z chaty wzięli,
Złote włosy mu obcięli,
Syn żołnierzem — nędza w domu.

Sercem targnął ból olbrzymi!
Z jękiem ocknął się z zadumy,
Orlich skrzydeł słychać szumy,
On, jak orzeł, leci z nimi.

Próżno kula zbiega goni,
On ojcowską widzi chatkę,
Widzi w nędzy starą matkę,
Bóg od kuli go ochroni.

P. Stachurski.

Wiwandjerka.

I.

Prześliczna, drobna, błękitnooka Żorżetta kończyła w konserwatoryum klasę śpiewu solowego w dziale opery komicznej. Miała głos niewielki, ale koloraturę nadzwyczaj lotną, finezyę w deklamacyi i wdzięk, rzadko spotykany w uczennicy. Wdzięk taki bywa niezawodnie wrodzonym, ale tylko scena i tylko wytworne otoczenie nadaje mu „kulturę“, to jest czyni go artystycznym. Otóż Żorżeta czarowała tym wdziękiem przed wstąpieniem jeszcze na deski sceniczne.

Codziennie o jednej i tej samej godzinie powracała z konserwatoryum z teką w ręku i codziennie spotykała jedne i te same osoby. Ale jeden z nich towarzyszył jej aż do bramy szkoły, a nawet po za bramę, bo do drzwi klasowych. Był to uczeń klasy dramatycznej konserwatoryum, Paweł Souberain.

Rzecz dziwna. Dwoje młodzieńców, pragnących życie swe przepędzić w karyerze teatralnej, a więc podatnych do przesady form i teatralności w objawianiu swych uczuć, pokochało się bardzo „zwyczajnie“ i w sposób zupełnie szczery, a prosty uczucie to wyjawiło.

— Jestem Pawłem Souberain, kolegą pani, rzekł jej pewnego razu, ośmielony jej spojrzeniem. Wiem, kto jesteś i dlatego w towarzyszeniu pani do klasy nie widziałem nic zdrożnego.

— Istotnie niema w tem niewłaściwości, panie Pawle. Znam i ja pana ze szkoły i dlatego nie gniewałam się na to postępowanie krok w krok za mną.

II.

Nadchodziły egzaminy, czyli, jak się to nazywa w Paryżu, „konkurs“ konserwatoryum. Żorżetta jedna z pierwszych uczennic klasy opery komicznej, odśpiewała aryę „La coup“ z „Galatei.“

Powodzenie uczennicy graniczyło z tryumfem. Obecni w szkole dyrektorowie opery oświadczyli nauczycielowi, że uczennica jest wprost zjawiskową. Jeżeli tylko zechce, natychmiast będzie angażowaną. Stary Thomas, skąpy w pochwałach dla uczniów, ucałował czoło laureatki, a mama Duparc wylewała łzy radości.

Jeden tylko Paweł stał ponuro schowany w kącie teatralnej scenki konserwatoryjnej.

— Czegoś pan taki smutny? zapytała go Żorżetta, gdy z bukietem schodziła za kulisy.

— Bo to, co mi zwiastować miało szczęście, staje się dla mnie źródłem okropnej trwogi.

— Jak mam to rozumieć?

— Ja ciebie kocham, panno Żorżetto.

— Panie Pawle!

— Ubóstwiam cię, moja najdroższa! Nie śmiałem ci tego powiedzieć dotąd, chociaż z serca wyrywało mi się co chwila gorące wyznanie. Ale teraz, gdy cię tracę...

— Pawle — nie umiem w rzeczach sercu posługiwać się sztuką. Serdecznie przyjmuję twe wyznanie i sama ci je oddaję. Kocham cię także i także oddawna. Porozumieliśmy się — a teraz wytłomacz mi co znaczą twe słowa?

Stanęłaś u progu karyery. Ja ci będę przeszkadzał w stąpaniu po drodze sławy i powodzenia. Zresztą nie spojrzysz na ucznia, którego czekają tylko ciernie i zawody i tylko na prowincyi. Ty rychło zaświecisz blaskiem pierwszorzędnej gwiazdy.

— Nie kończ, mój Pawle. Oto moja matka. Chodźmy do niej.

Młodzi podbiegli do zapłakanej pani Duparc. Ta miała jedną tylko odpowiedź dla córki.

— Jeżeli go kochasz — bądźcie szczęśliwi!

Młodzi ludzie — byli naprawdę szczęśliwi!

III.

Dyrektorzy opery komicznej dotrzymali przyrzeczenia. Udzielili debiutu Żorżecie w wybranej przez nią roli. Wybór padł na „Córkę pułku.“ Nie był to jednak debiut — tryumf towarzyszył młodziutkiej śpiewaczce od pierwszego ukazania się na scenie. W kostyumie wiwandjerki „córka pułku“. była czarującą. Rulady, staccata, koloraturowe biegniki, skoki głosu na interwalach odległych były niczem wobec całości postaci. Żorżetta miała urok dziewczęcia, które zawracało w głowach nie tylko młodym oficerom, ale i starym wiarusom. Było to wcielenie wdzięku i artyzmu zarazem, coś, co stanowi istotę czaru wielkiej śpiewaczki.

Gdy Marya, uczuwszy w sobie krew pułku, stanęła z wiarusem do duetu „Rataplan“, oklaskom nie było końca. Ten przedziwny nastrój żołnierski zdawała się przesadzać młodziutka wiwandjerka, ale przesada nie przekraczała granic artyzmu. Ze zwrotek słów opery, z melodyi donizettowskiej wyrywała się ta dusza, dziwnym animuszem wojskowym wyrzucana. Krytyka i panowie z pierwszych rzędów parteru przyznali jednogłośnie, że takiej „córki pułku“ nie miała nie tylko Opera komiczna, ale i — Francya.

IV.

A Paweł? Temu Melpomena ukazywała maskę ponurą i ironiczną. Nie miał szczęścia on, utalentowany, inteligentny w pełni warunków siły, zdrowia i urody męzkiej. Po ukończeniu konserwatoryum, proponowano mu teatra bulwarowe i to na stanowiska dlugorzędne. Bohater, pragnący grywać role pierwsze, musiałby decydować się na prowincyę. A opuścić Paryż z ukochaną widwandyerką, z pierwszorzędnemi talentami sceny klasycznej — było wyższem nad jego siły. Po walce z piętrzącemi się przeszkodami na drodze, która w snach jego młodości zasłaną była różami, Paweł dał za wygranę teatrowi i jego zawodom. Właśnie otrzymał spadek po wuju i miał objąć jego posiadłość w okolicach Passy, urządzoną wzorowo z pięknemi ogrodami, dostarczającemi Paryżowi kwiatów, owoców i jarzyn.

Spadek ten i ustalenie losów Pawła pozwoliło młodej parze myśleć o dniu ślubu. Jak dzieci upajali się słodyczą melodyi, które z chóru spłyną na świątynię, gdy przed ołtarzem kapłan połączy ich stułą na wieczne lata.

Ale los lubi rozwiewać takie rojenia. W przeddzień ślubu wypowiedziano wojnę Prusom. Paweł został powołany pod broń.

Z wymarszem nie było żartów. Paweł pospieszył z pierwszą kompanią pod chorągwią Bourbaki'ego. Wypadki szybko następowały po sobie i młody żołnierz przyjmował udział w potyczkach pod Villersexel i Montbéliard. W tygodni parę widzimy go w awangardzie armii, pozostającej pod rozkazami generała Clinêchant, a przeznaczonej do poszukiwania przejścia przez lodniki i urwiska gór jurajskich.

Awangarda przeszła do Szwajcaryi, opatrzyła drogi i krwią własną zaznaczyła szlak, którym liczne pułki miały pospieszać dla schronienia się w gościnnej i pobratymczej Helwecyi. A to poświęcenie garstki przedniej straży poszło na marne i generał Clinéchant, zaatakowany z obu stron przez wojska niemieckie, nie mógł już szukać ucieczki przez wąwozy górskie. Jedyne wyrazy, z jakiemi zwrócił się do nieszczęśliwych swych pułków były: „odwagi chłopcy, umierajcie, ale nie dajcie wydrzeć sobie chorągwi!“

Garstka ochotników przednich usłyszała o tej okropnej nowinie. Siłą małą, ale niemniej gorącą postanowiła przyjść z pomocą odciętym towarzyszom. Paweł wystąpił do kamratów z przemową.

— Brońmy honoru Francyi do ostatniej kropli krwi, zginiemy, ale razem z tamtymi, którzy nam zaufali. Pomnijmy o Leonidasie; niechaj obowiązek żołnierzy francuzkich nie cofa się nawet przed — Termopilami!

Niestety! słowa Pawła spotkały się z ironicznemi uwagami zziębniętych i pokrwawionych towarzyszów.

— Albośmy to już życia swego nie poświęcili w tej przeklętej awangardzie...

— A ten jenerał, który nas wysyła, abyśmy mu torowali drogę.

— I ci tchórzliwi żołnierze, którzy pozwolili nam właśnie, a nie innym narażać się na śmierć możliwą w lodnikach...

W ten sposób szydzono z odwagi i przodownictwa Pawła, który spostrzegł zrozpaczony najokrutniejszą z przegranych: przegraną męztwa i honoru.

Gdy nowe wezwanie nie odniosło skutku, a groźba strzelania spotkała się z zapowiedzią odwetu... niespodziewana, nieprawdopodobna pomoc nadciąga odważnemu. Zdala słychać bęben dobosza i trąbkę sygnalizatora. Pod biwak straży przedniej nadbiega... wiwandjerka, bijąca głośno w bęben przy odgłosach „Rataplan, Rataplan!...“ a przy niej stary wiarus trąbką i wtórzeniem w okrzykach wzmacnia pobudkę wojenną.

Paweł nie wierzył oczom własnym: ależ to — Żorżetta, urocza primadonna Opery komicznej w kostyumie „Córki pułku“ z towarzyszem operowym, starym barytonistą, poczciwym weteranem opery Donizetti'ego! Wzruszony nie mógł wymówić słowa: chciał paść na kolana i ucałować stopy tej przeuroczej artystki-obywatelki. Ale Żorżetta energicznym ruchem nakazała mu milczenie. Podwoiła energię w uderzeniu w bęben, a gwałtowne okrzyki towarzysza, obudziły instynkt żołnierski całej straży. Chwycono za broń, oderwano się od ognisk i uszykowano. Za wiwandjerką pospieszono przez parowy, przekroczono jeden lodnik i drugi i po trzygodzinnym marszu forsownym, cała drużyna znalazła się na ziemi francuzkiej.

V.

— Nie pytaj mnie jak i kiedy dowiedziałam się o twym wymarszu w awangardzie — rzekła Żorżetta do Pawła, gdy się znaleźli w wiosce francuzkiej wśród pułków swej armii. — Dopóty od obozu do obozu dobijałam się z tym poczciwcem, dopóki nie dotarłam prawdy. Kostyum wiwandierki ułatwiał mi to drogie zadanie...

A teraz, nie czekając nowego wymarszu — marsz do kościoła!

W godzinę w wiejskiej świątyni Paweł i Żorżetta zaprzysięgli sobie dozgonną wierność. Towarzyszami ślubu byli: udany trębacz z opery i prawdziwi żołnierze z awangardy!... *A. F.*

Co kochać?

Co masz kochać? pytasz dziecię,
Co dla serca jest drogiego?
Kochaj Boga, bo na świecie
Nic nie stało się bez Niego.

Kochaj ojca, matkę twoją,
Módl się za nich codzień z rana,
Bo przy tobie oni stoją,
Niby straż od Boga dana.

Do Ojczyzny po rodzinie,
Wzbudź najczystszy żar miłości:
Tuś się zrodził w tej krainie,
I tu złożysz swoje kości.

W czyjem sercu miłość tleje,
A nie toczy go zgnilizna,
W tego duszy wciąż jaśnieje:
Bóg, rodzina i Ojczyzna!

Władysław Bełza.

ZAPŁATA.

I.

Licznie zebrani gracze, oraz liczniejsza jeszcze „galerya“, otaczająca stoły w Monte-Carlo, została przerażoną niespodzianem zajściem.

Dwóch gentlemanów o pozorach wielce dystyngowanych siedziało obok siebie za stołem, na którym kłębiło się w szalonej sarabandzie wygranych i przegranych złoto i srebro, stawiane, a raczej rzucane na *rouge et noire*. Wejścia ich nie zauważono — wszak tylu panów przewija się co chwila przez salony gry, a ci, oprócz wytwornych manier, niczem nie wyróżniali się od innych. To tylko było widocznem, że jeden z nich spoglądа niechętnie na drugiego.

W chwili, gdy baron (tak się zameldował w biurze administracyi casina) sięgał po złoto, rzucone na stół przez krupiera, jako wygraną koloru jego stawki, sąsiad hrabia (w tenże sam sposób zameldowany), chwycił jego rękę i krzyknął na cały głos:

— Baronie d'Artois — kradniesz moje pieniądze...

Tumult, zgiełk, zjawienie się konstabli, wreszcie wyprowadzenie obu panów nastąpiło bardzo szybko i równie szybko wszystko powróciło do normalnej kolei rzeczy.

Dzienniki opisały zajście, wymieniły nazwiska obu graczy, a protokuł władzy policyjnej wyraźnie skonstatował, że kradzieży żadnej nie było i że hrabia Henryk de Vaubrey przyznał się otwarcie do potwarzy, którą *umyślnie* rzucił na barona.

Jakim był cel potwarzy? — tego ani na razie, ani później hrabia wyznać nie chciał. Widocznem tylko było, że panowie ci nie znali się przedtem ani jednej chwili, że baron przybywał w Nicei od tygodnia, zaś hrabia przybył do Monte Carlo pociągiem na pół godziny przed zajściem.

II.

Nazajutrz o 7-ej rano baron posłał świadków hrabiemu. Ten ostatni nie miał znajomych na wybrzeżu liguryjskiem; zaprosił zatem właściciela hotelu i jednego ze spotkanych w salonie oficerów.

Pojedynek odbył się według form obowiązujących. „Kodeksowi“ takich rozpraw stało się zadość: baron poległ od celnej kuli hrabiego, skierowanej wprost w serce. Hrabia oddał się sam w ręce sprawiedliwości, ale po spisaniu protokułu na miejscu, uwolniono winnego, który zobowiązał się na każde wezwanie sądu stawić się w miejscu wskazanem.

Dzienniki, pełne opisów spotkania, niedyskretne aż do przytoczenia w całości aktu urzędowego, pobudziły ciekawość, ale jej nie zadowolniły: sprawa pozostała tajemnicą dla wszystkich.

III.

Czy dla wszystkich w istocie? Ani brat hrabiego, dzielny komendant Vaubrey, ani sędziwy jego ojciec, mieszkający dotąd na zamku Vaubrey w Bretonii, zaniepokojeni wieściami dzienników, nie zdołali wyciągnąć ani słowa z ust Henryka.

— Nareszcie bez powodu nie zabija się obcego człowieka — przemawia doń ojciec łagodnie a poważnie — można przesadzić w wymierzeniu sobie sprawiedliwości za urojoną choćby krzywdę, ale przyczyna istnieć musi. Nie pojmuję zatem twoich zapewnień, żeś zabił człowieka bez przyczyny.

— Bez najmniejszej... A zresztą poddam się wyrokowi sądu i opinii.

— Idzie tu o opinię ojca, kochającego ojca, który oprócz życia i szacunku, dał ci — honor. Twój honor jest częścią mego, tak jak mój do was należy. Bądź otwartym z twym biednym ojcem: czy ta cała awantura nie pachnie pojedynkiem amerykańskim?

— Nie widziałem tego człowieka nigdy w życiu.

— A może szkalował on cześć twoją na piśmie?

— Honor mój dotąd przez nikogo nie był szkalowany.

— A więc dochodziłeś krzywdy osoby trzeciej, drogiej twemu sercu...

Henryk zamilkł. Ta chwila milczenia miała swoją wymowę, a jednocześnie tkwiło w niej tyle siły gnębiącej syna i ojca, że dla uwolnienia się od cierpień nieopisanych, Henryk pierwszy przerwał milczenie.

— Nie badaj, ojcze, dłużej. Nic więcej nad to powiedzieć nie mogę. Pojmujesz, że honor w swych okrutnych, a zarazem tak delikatnych subtelnościach, nakazuje cierpieć w skrytości, tak jak w skrytości broni się od przeraźliwych boleści. Uszanuj tajemną stronę mojej czci i nie nalegaj...

Ojciec smutno zwiesił głowę i rzekł po dłuższem milczeniu:

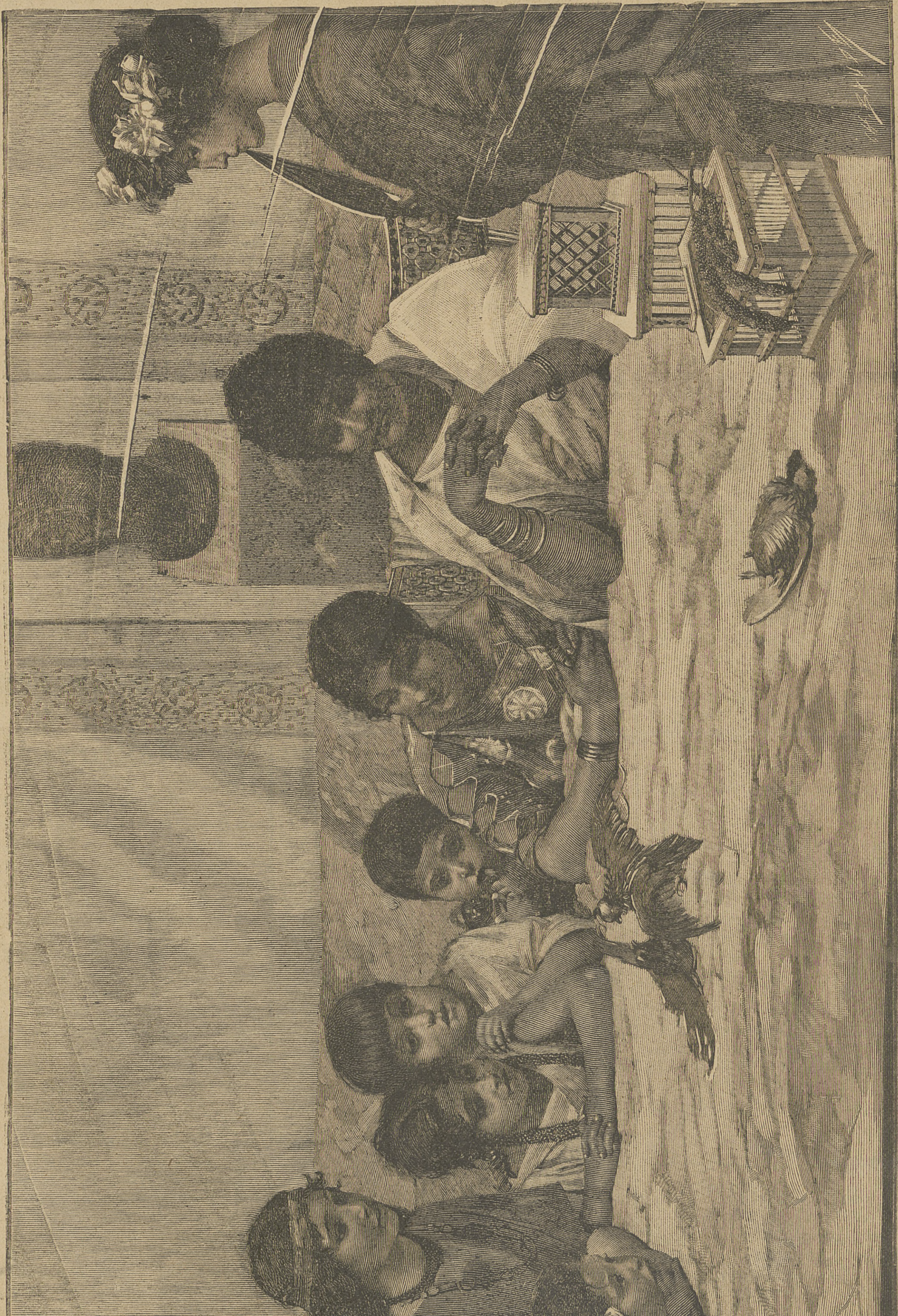
— Pozostaje mi jedynie — wierzyć ci. Wierzę ci zatem, żeś w całem zajściu nie miał nic innego na celu, jak czyn honorowy. Rzecz musi się wyjaśnić prędzej lub później. Ale ponieważ w planach mego życia nie mogę brać na uwagę dłuższych przestrzeni czasu, przyrzeknij mi, że przed mą śmiercią dowiem się motywów, kierujących dłonią syna, z której padł strzał śmiertelny.

IV.

Rozstali się. Henryk wyjechał z zamku i przybył do Paryża. Powrócił do zajęć w ambasadzie belgijskiej. Na zapytanie, czy do czasu ukończenia śledztwa należy mu podać się do dymisyi, otrzymał zezwolenie pełnienia nadal obowiązków urzędowych.

Inkomodowany ciekawością kolegów i znajomych, przecinał sprawę — milczeniem. W świecie hrabiego ciekawość miewa także formy wytworne.

A żona? Z nią nie zamienił ani słowa o tej sprawie. Tryb ich życia



Rozrywka w zamożnym domu tureckim.

w niczem się nie zmieni po dawnemu — to jest tak, jak było przed miesiącem, gdy się pobrali — jeździli do lasku bulońskiego przed śniadaniem, a po ukończeniu zajęcia, zasiadali do stołu, wieczór przepędzając w teatrze lub na czułem sam na sam. W tej tkliwości stosunku osobistego również nic się nie zmieniło.

Kochali się szczerze i poważnie, poważnie iść poczęli przez życie, którego cele przyświecały im blaskiem ukochanych ideałów. Roili plany, rozbierali warunki teraźniejszego bytu, powracali do wspomnień przeszłości, ale o pojedynku nie było nigdy pomiędzy nimi mowy.

V.

Nadszedł wreszcie dzień procesu. Sąd policyi poprawczej wezwał Henryka do Nicei. Oskarżony bronił się sam, żądając w przedstępnem słowie rozbioru sprawy przy drzwiach zamkniętych.

Wyrok zapadł uniewiniający. Świadków spotkania nie pociągano nawet do świadczenia w sądzie. Dzienniki ogłosiły wyrok — ale to lapidarne zobrazowanie ostatniego aktu tajemniczej tragedyi bardziej jeszcze podniecało ciekawość ludzi.

Nocnym pociągiem powracał Henryk do Paryża i fala życia popłynęłaby dalej korytem zwykłem, o wypadku nicejskim zapomnianoby w nawale nowości codziennych, a wspomnienie poległego utonęłoby w oceanie wrażeń silniejszych i świeższych.

Zwykle tak bywa, że gdy bezpośredni wymiar sprawiedliwości napotyka na przeszkody, tkwiące w samym przedmiocie, przypadek bywa wyręczycielem losu.

Na stacyi poprzedzającej Paryż, pociąg został wykolejony. Wypadku z ludźmi nie było, ale uszkodzone wagony zatamowały nie tylko linię, ale uniemożliwiły wyjście z przedziałów pasażerskich. Mimowoli wypadki podobne zbliżają do siebie ludzi obcych, dzielących spólną niedolę. Chwila taka starczy nietylko na zabranie znajomości, ale na poczucie spólności krzywdy, czego bezpośredniem następstwem jest odczuwanie spólnych pragnień.

Towarzyszką hrabiego była dama w podeszłym wieku, osoba poważna i milcząca, w szacie żałobnej. Zatrwożona wypadkiem, odezwała się pierwsza do spółtowarzysza:

— Ratuj mnie pan, los uczynił cię moim opiekunem i kimkolwiek jesteś, broń staruszki! Nie ma mnie kto już bronić w życiu. Jestem samotną od kilku miesięcy...

Henryk uważał za właściwe przedstawić się towarzyszce i zapewnić ją o zupełnej gotowości spieszenia na jej rozkazy. Z chwilą wymienienia swego nazwiska zauważył nagłą zmianę: staruszka odwróciła się od niego i tłumiąc wzrenie, zawodziła błagalne słowa:

— O Boże! niechaj wypadek pochłonie mnie raczej, aniżelibym znaleść miała ratunek z rąk mordercy mego syna..

Była to matka poległego w pojedynku barona.

Baronowa d'Artois, łkając, rzuciła się ku drzwiom przedziału. Ręką silną Henryk powstrzymał ją od niechybnego upadku.

— Ktokolwiek jestem — winienem staruszce obronę w wypadku, który los sprowadził na nas oboje. Bronić zatem panią będę pomimo jej woli, a gwoli uspokojenia zbolałego serca matki wyznam tajemnicę, która odsłoni ci głębię mojej boleści. Ty płaczesz nad śmiercią syna, ja nad przyczyną, która śmierć tę sprowadziła.

VI.

Wagon uporządkowano o tyle, że nie groziło mu stoczenie się po nasypie plantu. Linia jednak nie była gotową do dalszej drogi i pasażerowie skazani zostali na parogodzinny postój przymusowy.

Henryk, sprawdziwszy te okoliczności, powrócił do przedziału i odezwał się w te słowa:

— Opowieść moja krótka, bo nie bogata w fakty. Jedna chwila zdecydowała o następstwach, które oboje opłakujemy. Ożeniłem się z kobietą ubóstwianą. Sierota, wychowana w klasztorze, nie miała ani wspomnień matczynej tkliwości, ani przyjaciół dni młodych. Daleka moja kuzyna, znaną mi była z odwiedzin, jakie czyniła mej matce. Droga moja rodzicielka przeznaczyła mi ją za żonę — ale widocznie Opatrzność przeznaczenie to potwierdziła, bo oboje pokochaliśmy się miłością serc młodych i niezepsutych.

Niestety! — obowiązek służby wojskowej powołał mnie do Afryki na lat pięć. Powróciłem do Marietty, którą zaraz na powitanie ubłagałem o przyspieszenie dnia ślubu

— Nie mogę być twoją — odrzekła krótko.

— Czy mnie już nie kochasz? Czy pięcioletnie oddalenie wyrwało z twego serca obraz najgoręcej przywiązanego kochanka, brata i przyjaciela w jednej osobie?

— Kocham cię po dawnemu, alem niegodna twego nieskazitelnego nazwiska... Gdym przed pół rokiem bawiła w Normandyi u przyjaciółki, poznałam człowieka, który stale począł mi asystować. Nie ukrywałam przed nim swego narzeczeństwa i miłości niezmiennej, jaką mam dla ciebie. To go nie zraziło — stał się natrętnym do tego stopnia, że, zmyliwszy z przyjaciółką datę wyjazdu, uciekłam po prostu z tamtych stron. Dogonił nas obie o kilkanaście kilometrów. Podejrzywałam go o zmowę z woźnicą, bo jakby na zawołanie powóz został uszkodzony, a my obie skazane na nocleg w oberży. Naraz baron proponuje jedyny sposób ratunku: przebieżenie konno dziesięciu kilometrów. Przełożyłyśmy to nad nocleg w austeryi. Atenais, moja przyjaciółka, pocwałowała pierwsza, ja siadłam z kolei druga, za mną pojechał baron. Noc zapadła. drogi nie znałam, a towarzysze moi pobiegli naprzód. Nie słyszeli mego wołania — zabłądziłam. Nagle baron zjawia się z zarośli, i szybkim galopem straszy mego konia, puszczającego się cwałem naprzód. Co się dalej działo — nie wiem. Obudziłam się w Paryżu z pokrwawioną skronią, a siostra miłosierdzia w domu zdrowia dzieliła trudy pielęgnowania mnie wraz z Atenais, która tuliła się do nóg moich z rzewną prośbą o przebaczenie za namówienie mnie do wycieczki i opuszczenie w chwili, gdy baron przeniósł mnie do oberży. Przyznaj więc sam, żem niegodna być żoną człowieka tak czystego jak ty...

. . . .

- Zaślubiłem Mariettę. Wyznanie jej w niczem nie zmniejszyło mej miłości i czci dla tej świętej duszy. Ale postanowiłem zemścić się nad niegodziwym uwodzicielem. Z chwilą, gdym nabył prawo opieki nad Mariettą, czyniłem poszukiwania nędznika. Dosięgnąłem go dopiero w Nicei. Anim mu się przedstawił, anim odsłonił celu zajścia. Szukałem pozoru i oto — wszystko pani wiadome...

VII.

Omdlałą ze znużenia staruszkę, odwiózł do domu hrabia z żoną, która z niepokojem na dworcu oczekiwała pociągu.

Podobno baronowa przebaczyła zabójcy syna.

— Baronowie d'Artois byli zawsze ludźmi honoru, rzekła po dniach kilku. Pozostałam sama i pragnę krzywdę syna wynagrodzić.

Sprawa pojedynku ucichła, a gdy w miesięcy kilka otwierano testament zmarłej baronowej, znaleziono zapis oryginalny: cały majątek przypadł przyszłemu vice-hrabiemu lub hrabiance de Vaubrey, synowi lub córce Henryka i Marietty.

E. D.

✝

Nekrologia.

Ś. p. ks. kanonik Kraus.

Dnia 16-go b. m. zakończył w Gnieźnie życie ś. p. ks. infułat Kraus, protonotaryusz apostolski i kanonik tamtejszej kapituły, skończywszy niedawno lat 81.

S. p. ks. Karol Kraus był z urodzenia Górnoślązakiem, w dzieciństwie tylko po polsku mówił. Jako młody kapłan pracował w parafii podczas pamiętnego głodu na Śląsku w 1847 r. Później był kapelanem wojskowym i w Berlinie w r. 1867 otrzymał od rządu prezentę na kanonię gnieźnieńską. Przez 33 lata przebywał zmarły dostojnik w Gnieźnie, ciesząc się ogólną czcią i miłością.

Po polsku mówił doskonale, z lekkim tylko odcieniem górnośląskiego dyalektu. Podczas walki kulturnej wiernie wytrwał przy sztandarze Kościoła i za to też podczas opróżnienia stolicy arcybiskupiej zaszczycony był wyborem na administratora archidyecezyi gnieźnieńskiej. Nieboższyk był pięknym typem wysokiego dostojnika duchownego. Okazałej postawy, czerstwego aż do ostatniej chwili zdrowia, uprzejmy dla każdego, hojną ręką rozdawał jałmużnę na kościelne cele w naszym kraju. Związany bliskiemi stosunkami z klasztorem PP. Urszulanek w Tarnowie, z Gniezna wygnanych, im za życia część znacznego swego osobistego majątku ofiarował i w ich domu 1896 r. kapłański swój 50-cioletni jubileusz obchodził. Mówiono wówczas o kilkunastu tysiącach złr., którem hojny prałat polski, zaszczytnie znany zakład wychowawczy opatrzył. Także w Księstwie ręka

jego zawsze była otwartą, ile razy chodziło o dobrą jaką sprawę, zwłaszcza budowę kościołów. Ostatnią jego szczodrą jałmużną był dar 3,500 mrk. ofiarowany ks. podkustoszemu Kiełczewskiemu na budowę Domu katolickiego w Gnieźnie. Piękny zaiste użytek, zrobiony za życia z dostatków, które tam wróciły, zkąd ich źródło pochodziło. Dlatego też powszechny żal towarzyszy zgonowi ś. p. ks. prałata.

Umarł w miesiącu nieparzystym, więc stallę opróżnioną obsadzać będzie rząd.

Requiescat in pace!

Kronika.

Karnawał u nas dotąd mało ożywiony. Odbył się bal Tow. młodzieży kupieckiej, na którym się bawiono z wielką ochoczością do białego dnia, a tej soboty ma się odbyć bal starego Przemysłu na nowej sali Bazarowej. Zresztą jeszcze cisza, ale za to innego rodzaju harce iście karnawałowe wyprawia poczta w Poznaniu. Walczy bowiem z wielką zaciętością z naszym „Wielmożnym“ i „Wielmożną.“ Z tej przyczyny rozmaici „Wielmożni“ i „Wielmożne“ nie otrzymują paczek wysyłanych przez interesowanych. Paczki leżą na poczcie i niektóre istotnie *gniją*. Wiem naprzykład, że przesłano pewnemu tutajszemu obywatelowi przez pocztę porcyą ryb. Poczta paczki nie dostawiła, ponieważ tytulatura była polską, oczywiście ryby się zepsuły. Interesowani pocztę zaskarżą o odszkodowanie. Jest to mojem zdaniem też najwłaściwsza droga, na której można pocztę nauczyć, że winna dopełnić obowiązku, to jest paczkę, jeżeli ją jedna agentura pocztowa odebrała, dostawić do rąk adresata.

Poczta całkiem zapomina, że, przyjąwszy raz paczkę, zawiera niejako kontrakt z adresatem i kontraktu musi dotrzymać — inaczej ponosi wszystkie konsekwencye wynikające z niedotrzymania kontraktu.

Wszystko to prawdopodobnie lepiej i obszerniej omówionem będzie na niedzielnym wiecu pocztowym.

Ponieważ już wspomniałem o wiecu w sprawie szykan pocztowych, przychodzi mi na myśl, czy nie byłoby dobrze poruszyć przy tej sposobności także sprawę napisów na wagonach kolei elektrycznej.

Usunięcie polskich napisów z wagonów kolei elektrycznej narobiło swego czasu dużo wrzawy. Wszystkie pisma rozpisywały się o tym policzku wymierzonym polskiej publiczności. Nawoływano się wzajemnie, aby koleją nie jeździć, ale, jak zwykle u nas, skończyło się na wielkiej wrzawie w pismach, na straszliwych zamiarach wystylizowanych z pewnem zacięciem. Przyszły inne sprawy — inne policzki, inne prześladowania naszego języka i o usunięciu polskich napisów z tramwajów elektrycznych ucichło.

Może byłoby dobrze, aby kto pod punktem wolne głosy i o tem pomówił.

Jest jeszcze inna ważna sprawa.

Pan dr. Antoni Chłapowski napiętnował na posiedzeniu radnych miejskich właściwem mianem wszystkich Polaków, uczęszczających na przedstawienia do niemieckiego teatru. Powiedział, że wszędzie się *„znajdą parszywe owce.“*

Bardzo dobrze!

Lecz nie dosyć nazwać rzecz po imieniu, trzeba też publicznie oznaczyć owe *„parszywe owce.“* abyśmy się ich strzedz mogli.

Które z pism zdobędzie się na odwagę wymieniania po imieniu tych, co uczęszczają nie przypadkowo, nie raz kiedyś, lecz bardzo często do teatru niemieckiego?

Niestety! Choćby nawet i znalazło się pismo dość odważne — cóżby to pomogło?

Czyż nie widzimy kolonizatorów przechadzających się wśród nas z zadowolonym uśmiechem?

Kolonizatorów, tyle razy wymienianych w pismach publicznych?

Dziś doszło do tego, że napomnienia prasy nie robią wrażenia, bo opinia publiczna śpi. *Acer.*

Z teatru i koncertu.

Krótko dziś sprawię się z referatem z ostatniej premiery. W sobotę i niedzielę odegrano przy szczelnie zapełnionej widowni krotochwilę trzyaktową Eugeniusza Moranda z francuzkiego, noszącą znakomity tytuł „Hotel pod nosorożcem“. Czy mam mówić o treści? — Trudno byłoby to nawet, co najwyżej mogę zdać sprawę z odniesionego wrażenia. — Zapytuję się więc, czy krotochwila dopełniła celu, to jest czy pobudziła mię do śmiechu. Istotnie wybuchałem śmiechem, bo niektóre sytuacye były komiczne, a niektóre dowcipy dosyć zabawne. Przy tem wszystkiem brakło całej sztuce tej pikanteryi, której oczekujemy wiedząc, że sztuka jest francuzkiego autora.

Artyści nasi grali wybornie. Podniosę tu grę p. Jakubowskiej (pani Champagnol), pana Berskiego (Montchenil), p. Okornickiego i Szczurkiewicza, dalej pani Niwińskiej i Teodorowiczowej. Bardzo dobrym był pan Zaremba w drobnej roli sekretarza Deloge.

W poniedziałek, dnia 14-go stycznia, wieczorem dawał koncert Józef Śliwiński. — Sala teatru Apollo była zapełniona, co się obecnie w Poznaniu rzadko zdarza. — Koncert rozpoczął się sonatą appassionata op. 57 Beethovena. — Mistrz odegrał ją prześlicznie, każda z trzech części oddana była pod każdym względem skończenie i z należytem zrozumieniem. Następną sztuką była Fantazya C — dur op. 17 Schumanna. Jużto Śliwiński jest iście genialnym interpretatorem Schumanna i jak każdy utwór tegoż kompozytora tak i Fantazyą odegrał mistrzowsko. Pomijając stronę techniczną, boć dla Śliwińskiego nie ma wogóle żadnych trudności, gdyż posiada tak znakomicie rozwiniętą technikę wirtuozowską, tak jest niesłychanie dokładnym w pasażach i oktawach, że zbytecznem byłoby podnosić te zalety gry jego. Pojął on Fantazyą tak na wskroś głęboko, tyle wlał w nią poezyi, uczucia, a przytem energii, że słuchacze oklaskiwali go bez końca. Artysta zakończył pierwszą część koncertu sonatą B — moll op. 35 Chopina. I tym utworem olśnił audytoryum. Mianowicie przepiękny marsz pogrzebowy zagrał z takim rytmem, w pierwszej części tak doskonale naśladował dzwony, w dalszej tak rzewnie i smętnie płynął śpiew pogrzebowy z pod jego palcy, że pragnęłoby się słuchać owego marsza bez końca.

Drugą część koncertu wypełniły utwory Chopina — Nocturne op. 48 Nr. 1., Preludya op. 28 Nr. 6 i 24 i Scherzo op. 39. Nie będę się szczegółowo przy każdej sztuce zatrzymywał, bo ramy krytyki byłyby zbyt obszerne, powiem tylko ogólnie, że każdy utwór wywoływał salwę oklasków i potęgował uwielbienie dla prześlicznej gry mistrza. Trzy ostatnie kompozycye Liszta t. j. Soirée de Vienne Nr. 8, król olch i rapsodya hiszpańska pozwoliły nam podziwiać niezwykłą siłę mistrza, wykonanie zaś było ostatnim wyrazem techniki. Już to Śliwiński umie z martwego fortepianu wydobyć całą powódź rozkosznych, słodkich, rzewnych tonów. On nie gra, ale marzy, z pod palcy jego wychodzą to ledwie dosłyszalne tony, to znów jakby pod różdżką czarodziejską słyszymy grę tak pełną, jakby w nią kto zaczarował całą orkiestrę. — Oklaskom nie było końca, szkoda tylko, że Śliwiński nie obdarzył nas żadnym naddatkiem. *Widz.*

Odezwa.

Niebywałe utrudnienia, z któremi się spotyka ludność polska, skoro przesyłki pocztowe opatrzone są polskiemi adresami, jest powodem, że zwołujemy wiec niniejszy, żeby zaprotestować przeciwko nowym porządkom i nieporządkom.

Wielokrotnie przy zaprowadzaniu nowych porządków oraz prześladowań języka polskiego spotykał nas niekiedy zarzut, że poniekąd zgadzaliśmy się na to milcząco, bo ani zażaleń, ani protestów nie wnosiliśmy. Na zarzut taki nie chcemy się nadal narażać. Podnosimy zatem głos nasz stanowczo i wyraźnie. Posłowie nasi zrobią to samo, ale ponieważ po ostatnich mowach panów Miquela, Studta i Rheinbabena nie można się spodziewać życzliwego przyjęcia ich skarg i żądań, lud cały polski podnosi już zawczasu i podniesie za nimi głos protestujący przeciw utrudnieniom pocztowym, żadnym przepisem prawnym nie uzasadnionym.

A nie tylko protestować chcemy, ale i zapowiedzieć solennie, że wszelkich będziemy używać środków prawnych, żeby się oprzeć skutecznie prześladowaniom antypolskim na tem jak i na każdem innem polu.

Zwołujemy więc

wiec,

który się odbędzie

dnia 27 stycznia r. b. o 12 z południa w Bazarze.

Wejście nowe za p. Kargem obok p. Barcikowskiego.

Porządek dzienny:

1. Zagajenie. 2. Wybór marszałka i bióra. 3. Referaty. 4. Wolne głosy. 5. Rezolucye. 6. Zamknięcie wieca.

N. b. Ktoby chciał przystąpić z nazwiskiem swem do powyższego ogłoszenia, niech się zgłosi bezzwłocznie do redakcyi pisma, które czytuje.

Kazimierz Adamski. Marcin Biederman. Witold Brodnicki. Stefan Chociszewski. Bernard Chrzanowski. Dr. Witold Celichowski, Jan Drożdżyński. Franciszek Glabisz. Albin Glabisz. Jan Grossmann. Adam Jachimowicz. Kajetan Ignatowicz. Dr. Dyonizy Karchowski. Edward Mazurkiewicz. Telesfor Otmianowski. Redakcya „Dziennika Poznańskiego", Dr. Wł. Łebiński. Redakcya „Kuryera Poznańskiego". Franciszek Morawski. Redakcya „Wielkopolanina", Walery Łebiński. Redakcya „Orędownika", dr. Roman Szymański. Redakcya „Postępu", Kaczmarek. Redakcya „Pracy". Redakcya „Gońca Wielkopolskiego". Redakcya „Przyjaciela Ludu". Redakcya „Przewodnika katolickiego". Szczerbiński. Teodor Szulc. Teska. Stanisław Tomaszewski. Wiktor Tempłowicz. Nikodem Wolniewicz.

Bronisz z Otoczna. Józef Stark z Mogilna. Wojciech Okoniewski. Ignacy Wawrzynowicz. Józef Jurek. Ludwik Jezierski. Władysław Obrębowicz. Wiktor Döring. J. Smyczyński z Poznania. Wawrzyniec Chybki. Mecenas Adam Woliński z Poznania. Fr. Krysiak. L. Hojnacki. M. Łukowski. W. Sroczyński. Namysł. J. Kotowski. Władysław Adamczewski. Józef Górnicki. K. Guderian. Adam Joachimiak. Bolesław Kaczmarek. Jan Kasprowski. Kaźmierz Kurowski. Franciszek Laurentowski. Marcin Lisowski. Ludwik Okoniewski. Władysław Skrzydlewski. Fr. Wyrębski. M. Zabłocki. Kazimierz Chrzanowski. Kazimierz Łukowski. Wincenty Szmytkowski.

Jeszcze można zapisać

„PRACĘ"

na miesiące luty i marzec.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na

tylko 84 fenygi.

Kto więc dotąd „Pracy" nie zapisał, niech wpłaci na poczcie w Niemczech niezwłocznie

tylko 84 fenygi,

na poczcie w Galicyi tylko 95 halerzy, a dostawać będzie pismo nasze do końca kwartału w każdą niedzielę.

„Praca" zapisaną jest teraz na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: **Abtheilung II t. poln. Nr. 103.**

Premia.

Kto zjedna choćby tylko jednego abonenta i nadeśle odnośny kwit abonamentowy wraz z własnym kwitem, ten otrzyma tytułem premii, więc *bezpłatnie ładną książkę historyczną z illustracyami.*

Nadzwyczajna premia.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna dwóch nowych abonentów i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premią **dwie piękne powieści historyczne oraz piękne obrazy historyczne.**

Premie otrzymają tylko ci abonenci, którzy pozyskali innych nowych abonentów, ci zaś abonenci, którzy zapisali tylko sobie „Pracę", nie mają prawa do premii.

Zwracamy uwagę, że druk numeru kończy się w czwartek, najpóźniej w środę nadesłane muszą być inseraty, które do najbliższego numeru wejść mają.

Drobne inseraty przyjmujemy tylko za opłatą należytości z góry.

Numery okkazowe wysyłamy na życzenie każdemu bezpłatnie.

Jeszcze można zapisać

„Czytelnię Polską"

na bieżący kwartał

„CZYTELNIA POLSKA" zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 14."

Baczność! Początek powieści p. t. „Krwawe ofiary" otrzymają tylko ci nowi abonenci, którzy nam nadeślą na dowód kwit abonamentowy pocztowy i na porto znaczek listowy, dwudziestofenygowy.

Tylko pod tym warunkiem wysyłać będziemy nowym abonentom początek powieści.

Baczność! Kwity abonamentowe pocztowe na „Pracę" i „Czytelnię Polską" zamieszczone są przed inseratami.

Wiadomości.

Na sześć miesięcy więzienia skazała dnia 24-go b. m. tutejsza izba karna byłego odpowiedzialnego redaktora „Pracy", p. Władysława Siemiątkowskiego, z powodu zamieszczenia artykułu w nr. 43-cim „Pracy" z roku zeszłego w sprawie panny Omańkowskiej, p. t. „Kara więzienna."

Prokurator wniósł o 10 miesięcy.

Podsądnego bronił p. mecenas Chrzanowski.

Dotychczas zasądzono p. Siemiątkowskiego ogółem na rok i dwa miesiące więzienia. Jak wiadomo, p. Siemiątkowski znajduje się w więzieniu już od dnia 30-go października r. z. Jeszcze jeden proces jest przeciw p. Siemiątkowskiemu w biegu o artykuł „Hańba stulecia", zamieszczony w nr. 44-ym „Pracy" z roku zeszłego.

Scienny kalendarz „Pracy" na rok 1901 dołączamy do dzisiejszego numeru jako bezpłatny dodatek.

Wieczory ćwiczebne „Sokołów", skreślone przez naczelnika związku „Sokołów" w państwie niemieckiem, oraz naczelnika „Sokoła" poznańskiego, p. W. Gładysza, zamieszczać będziemy odtąd w „Pracy" co miesiąc. W następnym numerze rozpoczniemy druk takowych.

Przed stu laty wiersz napisany przez Jerzego Szumlańskiego w stuletnią rocznicę koronacyi elektora brandenburskiego na króla pruskiego (w dniu 18-go stycznia 1801 r.) zamieszczamy na tytułowej stronie niniejszego numeru. Stary rękopis wiersza nadesłał nam łaskawie jeden z naszych weteranów — gorliwy zwolennik i czytelnik „Pracy".

Złote wesele obchodził dnia 20 b. m. p. dr. Julian Chełmicki z Żydowa z małżonką swą, były długoletni poseł do sejmu prowincyonalnego, nestor społeczeństwa naszego. Zacnej parze przesyłamy najszczersze życzenia: ad multos annos.

Walne zebranie wyborców powiatu koźmińskiego odbędzie się w Koźminie w niedzielę, dnia 3-go lutego b. r. po południu o godz. 4-tej na sali p. Szymury. Na porządku obrad wybór kandydata na posła do sejmu oraz sprawa nauki religii i języka polskiego. O liczny udział prosi

Komitet wyborczy powiatowy.

Wiec w sprawie języka polskiego i szkólnej dla powiatu Pleszewskiego odbędzie się w Pleszewie w niedzielę, dnia 3-go lutego b. r. o godzinie 4-tej po południu, na sali hotelu „Victoria.“

Komitet wiecowy

Kaźmierz Lipski, przewodniczący. *Józef Pleciński*, sekretarz.

Antoni Balcerek, Józef Czapski, Antoni Cichorzewski, Antoni Ciążyński, Władysław Grabski, Franciszek Gdeczyk, Feliks Jezierski, Tomasz Jezierski, Jan Koźlecki, Dr. Kubacki, Karól Kwaśniewski, Karól Kowalski, Dr Likowski, Stanisław Majerowicz. Julian Pleciński, Artur Szenic, Stanisław Suchocki, Władysław Szczepkowski, Maryan Szuman, Paweł Stefaniak, Seweryn Samulski, Jan Szczepański, Ordynat Antoni Taczanowski Floryan Taczanowski, Felicyan Wronecki, Władysław Zboralski.

Tanie książki ludowe poleca w wielkim wyborze Fr. Wiśniewski w Mogilnie. Na odnośny anons zwracamy uwagę Szanownym Czytelnikom.

Miłosław, 21. I. 1891. Szanownej Ekspedycyi „Pracy“ donoszę uprzejmie, że poczta tutejsza 9 marek należących się za inserat nie chce przyjąć. Na przekazie adresowałem:

„Praca“
centralny organ dla spraw rolnictwa
Posen
Ritterstr. 38.

Żąda koniecznie niemieckiego adresu. Co teraz zrobić?

Z poważaniem
Rabski.

Musimy odczekać, co w sprawie hakatyzmu pocztowego uchwali wiec poznański. Przyp. Redakcyi.

Poniec. W mieście naszem wakuje od zaraz miejsce dla weterynarza **Polaka.** Weterynarz dotychczasowy, Niemiec, wyprowadził się. Okolica jest czysto polska i praktyka dobra.

Również golarz, Polak, znalazłby dobre powodzenie.

Na fundusz Janiny Omańkowskiej złożono w dalszym ciągu zebrane na weselu u państwa Ostrowskich w Poznaniu 11 m. 15 fen.

Dotąd zebraliśmy na ten cel 379 m. 54 fen. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu „Samopomoc“ 124 m. 52 f., pozostało zatem u nas 255 m. 2 fen.

Dalsze składki chętnie przyjmujemy.

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu pp. Józef Przysambor z Pisarzowic 5 m., N. N. z Poznania 1 m., Towarzystwo katolickich młodzieńców i mężów w Biskupicach na Górnym Slązku 16 m. 80 fen. z następującym dopiskiem:

„Proszę umieścić to w „Pracy“, której jestem abonentem, i niech to będzie dowodem, żo my Polacy na Górnym Slązku chętnie spieszymy z pomocą na ten dobry cel.

Z szacunkiem
Teodor Ociepka,
przewodniczący.“

Razem złożono dotąd na cel powyższy 366 m. 40 fen. Dalsze składki chętnie przyjmujmy.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

Srem. W niedzielę, dnia 27-go bm. odbędzie się koncert tutejszego Koła śpiewackiego z łaskawym współudziałem koncertowej śpiewaczki, panny Heleny Dutkiewiczówny z Drezna oraz Tow. śpiewu pań i amatorów na sali hotelu Victoria. Początek o godz. 8-mej wieczorem.

Kruszwica. Dnia 27-go bm. w niedzielę urządza tutejsze Towarzystwo katolickie Robotników polskich na sali p. A. Zalewskiego przedstawienie amatorskie. Odegrane będą: „Biedny rybak“ i „Los sieroty“. Dochód przeznaczony na cel dobroczynny. Początek o godzinie 7-ej wieczorem.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

Kłopot.

Proboszcz. I cóż mi powiecie, Wojciechu?

Wojciech. Bo to dopraszam się Jegomości — hehehe — Jegomość pewnie się już domyśli!

Proboszcz. Nie mój kochany; i cóż takiego?

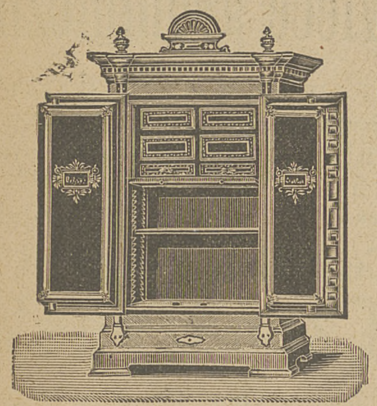
Wojciech. Bo nam się narodził chłopak i chcielibyśmy go dziś na sumie dać ochrzcić.

Proboszcz. A jakie chcecie mu dać imię?

Wojciech. (Drapie się za uchem). Ha, kiedy ja tam zapomniałem się zapytać — hm — hm —

Proboszcz. No, to mu dajcie wasze imię!

Wojciech (przelękniony). Moje imię? A ja mam potem bez imienia żyć na świecie?!



Szafy żelazne

ogniotrwałe

i kasetki

do pieniędzy

poleca 34

w wielkim wyborze

T. Krzyżanowski.

Poznań, Szewska ul. nr. 17.

Pługi parowe

budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach począwszy od

28,000 marek.

Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek

budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach. 316

John Fowler & Co., Magdeburg.

Dobry zarobek.

Kamienicka fabryka maszyn do pończoch robienia w Kamienicy „Chemnitz i/Sa." Zschopauerstr. 60. poleca **maszyny** do robienia pończoch, szkarpet, gamaszy, kolanków, rękawiczek, sukienek, spódników, majtek, jaczek i t. d. przedewszystkiem najlepszej konstrukcyi po tanich cenach fabrycznych. 8

Zastępca: **L. Małolepszy,**

Pleszew.

Butelka 1,50 m.

Złotym medalem prem. środek w Berlinie w r. 1896.

Podagrę, darcie w kościach, łupanie w głowie

itp. usuwa się zaraz skutecznie przez nacieranie

Esencyą z kasztanów

666 wyrabianą przez

Ludwika Dwersteg jun., Borghorst i. W.

Do nabycia w aptece **J. Jasińskiego,** Poznań, Stary Rynek 75, naprzeciw odwachu. Telef. nr. 1190.

Liczne świadectwa.

Do nabycia w księgarniach dzieła pedagogiczne **Reussnera**

Najlepsza Metoda

najłatwiejsza do **bardzo prędkiego** a **gruntownego** nauczenia się **Języków Obcych bez nauczyciela** z objaśnieniem **wymowy** i z **kluczem** na końcu każdego dzieła:

„Samouczek" **Polsko-Niemiecki,** kurs wstępny (Elementarz) po 25, 50 i 90 fen. kurs I-y 1,25 mk., kurs II-gi 3,35 mk., komplet (oba kursy) 4,20 mk.

„Samouczek" **Polsko-Francuzki,** kurs I-szy 2,50 mk., kurs II-gi 6,30 mk., — Gramatyka Polsko-Francuzka 2,50 mk. **Wypisy Francuskie (Chrestomathie Française)** 1,65 mk.

„Samouczek" **Polsko-Angielski,** kurs I y 1,55 mk., kurs II-gi 2,50 mk. kompl. 3,55 mk. 603

„Samouczek" **Polsko-Ruski** 32 zeszyty po 20 fen.

Elementarz Polski z wzorkami pisma i rysunków i z obrazkami **(741 figur)** po 4, 13, 43, 65 fen.

Skład główny **w Warszawie ul. Złota 6** wysyła książki tylko za **poprzedniem otrzymaniem** należności gotówką lub pocztowemi znaczkami niemieckiemi. — Zeszyt I-szy Samouczka francuskiego i ruskiego wysyła się **gratis.**

Wieczory pod lipą, czyli historya Narodu Polskiego p. **Siemieńskiego** wyd. X-te z ilustrac. Kossaka, Tondosa, Stachowicza ect. Cena w oprawie kart. 2 marki.

Polecamy gorąco tę od 30 lat z górą ulubioną hist. pol. prawdziwie patryot. napisana. 779

Galerya królów Polskich 39 portretów (w całej figurze) z herbami województw rys. prof. **Tondosa,** odznaczona na paryskiej i warsz. wystawie wielkim złotym medalem) na kartonie 63+93 ctm. cena 2 m. 40 fen. Do nabycia w odn. księgarniach. Na składzie w Poznaniu: **w księgarni Polskiej Tempłowicza.**

Na reumatyzm!

Premiowane 1894 i 1895 r.

nacieranie Dr. Koszutskiego

Salus

znane od 35 lat jako jedyne i niezawodne lekarstwo na reumatyzm, boleści reumatyczno-nerwowe, bolesność w krzyżach po połogu i t. p.

Butelka 50 fen. i 1 mk. we wszystkich aptekach i fabryce wyrobów hygienicznych, **Półwiejska nr. 1, I.** — Zważać na znaczek ochronny. 647

R. Tilgner, Pleszew.

Płaszcze gumowe nieprzemakalne, fabrykat angielski, ceny bardzo tanie. Dla Panów od 20 do 30 mk. Przy zamówieniu wystarczy nadesłać objętość piersi, i objaśnie wysokości osoby. Przesyłka za zaliczką, którą ewentualnie się zwraca. 728



Księgarnia Katolicka

w Poznaniu (Rynek 53)

wydała i poleca:

Wojsko Kościuszki.

Książka ta wielkiego formatu (26×21 cm.) składa się z 22 tablic, które obejmują 105 figur tak pieszych jak i konnych żołnierzy. Rysował M. Stachowicz, z natury. Z dokładnym opisem oraz historyą wojska polskiego i spisem żołnierzy, oficerów i jenerałów z r. 1794.

Ceny: Wydanie czarne: Z opr. ***2 m.,*** z przes. ***2,30 m.*** Wydanie szare: Odbite w trzech szarych kolorach. Z opr. ***3 m.,*** z przes. ***3,30m.*** **Wydanie kolorowe:** Z opr. ***6 m.,*** z przes. ***6,50 m.*** Toż samo w pięknej oprawie płóciennej czerwonej z wyciskanym orłem i pogonią w złocie, z futerałem: ***9 m.,*** z przesyłką ***9,50 m.*** **Historya powstania Kościuszki** z dodatkiem spisu osób, które uczestniczyły w temże powstaniu oraz żywotów osób wybitne zajmujących stanowisko w r. 1794. Z ***40*** rycinami, stron ***264.*** **Cena:** bez oprawy ***1 m.,*** z przes. ***1,20 m.,*** z opr. w pół płótno ***1,30 m.,*** z przes. ***1,50 m.,*** z opr. w czerwone płótno z wyciskami złotemi ***2 m.,*** z przes. ***2,30 m.***

Obrazy Kościuszki malowane przez W. Eliasza.

Portret Kościuszki, wielki olejny druk ***40×58*** cm. ***1,60 m.,*** z przes. ***2 m.*** Tenże obraz czarna litogr. ***33×40*** cm. ***0,40 m.,*** z przes. ***0,70 m.***

Bitwa Racławicka, wielka kolorowa chromolitogr. ***51×70*** cm. ***1,60 m.,*** z przes. ***2 m.*** Tenże obraz czarna litogr. ***0,80 m.,*** z przes. ***1,20 m.***

Przysięga w Krakowie, wielka kolor. chromolitogr. ***51×70*** cm. ***2 m.*** z przes. ***2,50 m.*** Tenże obraz czarna litogr. ***1 m.,*** z przes. ***1,40 m.***

Kościuszko na koniu piękna kolorowa chromolitogr. ***33×40*** cm. ***0,50 m.,*** z przes. ***0,80 m.*** Obrazy te nagrodzone zostały srebrnym medalem na wystawie Lwowskiej. Kupujący od razu kilka obrazów opłaca tylko jednorazowe porto w sumie ***0,50 m.*** Należytość trzeba nadsyłać naprzód przekazem pocztowym do **Księgarni Katolickiej w Poznaniu** (Stary Rynek 53). Inne wydawnictwa Kościuszki podane są w osobnym cenniku, który wysyła się darmo i franko. 688

Tanie książki ludowe!

Śpiewnik narodowy, Sowizdrzał z obr., Czarodziejska lampa, Kopciuszek, Śniegulinka, Słowik, Młody pustelnik, Urban Długonos, Genowefa, Bolesław, Sześć ciek. bajek, Gołąbek, Gry towarzyskie, Ludwik młody wychodźca, i kalendarz illustrowany. Powyższe 15 książek daję za 3,50 mk. fr. i herbik polski w dodatku! Zortuję też innych 15 książek lepszych za 4,50 mk. Polecam mianowicie nader śliczne powieści moralne: Wierność i litość, Listownik uczący pis. wszel. listów, Listownik miłosny, Zbiór powinszowań wierszem, Oracye i przemowy drużby, Kto winien?, Szczęście na wsi, Jaskinia Beatusa, Grabczycha po 60 fen. Gruby narodowy śpiewnik z nutami i bez 1 mk. Kalendarze różne, Pan Twardowski z obr., Górka Klemensowa, Sądy Boże, Odpuść nam, Petronela pustelnica, Trzy śluby, Powiastki ludowe tom I II III i IV z obr. po 50 fen. i inne powieściowe, do nabożeństwa, szkólne etc. Polecam też *„Krzyżacy"* prześliczną pow. oryg. Sienkiewicza 4 mk. „Genowefa hrabina i pustelnica" w 50 zeszytach z illustracyami zeszyt 10 fen., całe dzieło 4,50 mk. „Sieroty" 40 zeszytów z illustr. komplet za 3,50 mk. — Sprowadzam także różne inne nakłady na żądanie. — Adresować proszę krótko:

Fr. Wiśniewski.

Mogilno. (Pr. Posen).

Elektryczne

Gromochrony

Dzwonki

Telefony

Światło

Siłę

Elektryczne

zakłada, naprawia, rewiduje szybko i poprawnie pod gwarancyą 664

F. Biskupski, Poznań

Specyalne przedsiębiorstwo instalacyi elektrycznej.

Nr. 11 ul. Berlińska Nr. 11

pierwsze! piętro pierwsze!

Firma fundowana w r. 1880. Telefon Nr. 108.

Prosimy odciąć.

Jeszcze wciąż można odnowić przedpłatę!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i z dołączeniem tylko 1,25 mk. oddać na poczcie.

Unterzeichneter bestellt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für die Monate Februar u. März die in Posen ercheinende Wochenschrift

„PRACA"

(Abtheilung II t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

für 0,84 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,84 Mark erhalten zu haben bescheinigt

.........., *den* ....

Kaiserl. Post ....

Powyższą kartkę prosimy odciąć i z dołączeniem 60 fenyg. posłać na pocztę.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

CZYTELNIA POLSKA

Abtheilung II t. poln. 14.

für 60 Pfennige.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,60 Mark erhalten zu haben bescheinigt

.........., *den* ....

Kaiserl. Post ....